TYDZIEŃ

NR 10 (86)
ROK III

14. III. 1948
CENA 25 ZŁ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



NASZ WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY **DZIECKA** W PEŁNYM TOKU!

PATRZ SZCZEGÓŁY NA STR. 5

WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

NAJMILSZE DZIECKO „TYGODNIA"

PATRZ KOMUNIKAT NA STRONIE 5



Nr 18. Mareczek Majewski ze Skolimowa



Nr 14. Januszek Okniński z Częstochowy



Nr 20. Jędruś Anczkiewicz z Warszawy



Nr 19. Lidia Dąbrowska z Warszawy ze swoją córeczką.



Nr 35. Urszulka-Arsy Suwarska z Warszawy



Nr 24. Zbyś woli pieska



Nr 15. Joasia Sykowska z Warszawy



Nr 25. Januszek Gliźniewicz z Częstochowy



Nr 22. Boguś Glenowski z Wrocławia



Nr 27. Wojtuś Kurpik z Warszawy



Nr 17. Zbyszek Sankowski z Warszawy



Nr 23. Jędruś Olszewski



Nr 26. Andrzej gniewa się



Nr 28. Basia Zarzycka z Warszawy



Nr 21. Joasia i Ronuś z Brwinowa bardzo się kochają



Nr 29. Maciuś Bieliński



Nr 30. Piotruś Kamieński z Warszawy



Nr 16. Michaś Górski z Warszawy



Nr 33. Mała Diana Kasper chce zostać pianistką



Nr 32. Poziomka



Nr 39. Magdusia Mrozkówna



Nr 31. Marynka Kamieńska z Warszawy



Nr 40. Ania Januszkiewicz z Łodzi, choć ma dopiero półtora roku, ale myśli bardzo poważnie



Nr 34. Młoda, przystojna, samodzielna. — Szuka tą drogą znajomości — Ewunia ze Słupska.



Nr 38. Bernadetta Kuzma . Andrychowa ze swoim braciszkiem





Nr 36. i Nr 37. Kochająca się parka: Hania Wlisłocka i Lesio Sobolewski z Warszawy, cioteczne rodzeństwo, które słucha i psoci zawsze we wspólnej zgodzie.

SYLWETKI SEJMOWE

W KARYKATURZE
JULJANA ŻEBROWSKIFGO



Od lewej: Gomułka, (1), pos. Ćwik (2), pos. Jeżewski (3), pos. Kulisiewicz (4), min. Rzymowski (5), wicem. Kściński (6) pos. Kiernik (7) min. Dąb - Kocioł (8), pos. Nowicki (9), pos. Witos (10), pos. Drobner (11), pos. Raabe (12), pos. Wierusz-Kowalski (13), min. Świątkowski (14), min. Rusinek (15), pos. Praga (16)

Roman Niziński

WIELKI SIEW

Plan gospodarczy na rok 1948

W ramach ogólnego trzyletniego planu gospodarczego Sejm zajęty jest obecnie pracami nad wszechstronnym rozpatrzeniem projektu rządowego o narodowym planie gospodarczym na rok bieżący.

Przeglądając osiągnięcia za rok 1947 i projekt na rok 1948 nie można się powstrzymać od pewnych uwag, gdyż nie pozwala na to porównanie cyfr. Cyfry te świadczą o ogromnym wysiłku rządu i społeczeństwa. Cyfry te świadczą o woli narodu jak najszego wydobycia się z okresu niedoborów i braków wojennych, by przez podniesienie stopy życiowej dojść do stopnia pewnego dobrobytu, na jaki pozwolą istniejące warunki.

Bo jeśli dowiadujemy się, że wartość produkcji przemysłowej Polski w r. 1947 wynosiła 8 miliardów przedwojennych złotych, podczas gdy budżet Polski w tamtych latach wahał się w granicach 2 miliardów złotych — to trudno nie uznać tej cyfry za zdumiewającą. W tym roku wartość tej produkcji będzie jeszcze wyższa i osiągnie cyfrę 11,5 miliardów złotych. Może dlatego plan gospodarczy jest tak popularny w narodzie, że jest tak imponujący, że wyraża się w nim cała energia twórcza narodu i cała jego nadzieja na lepszą przyszłość, że znamionuje go rozmach, oparty jednak na przesłankach realnych. Jego ostatecznym celem jest przebudowa ustroju Polski i uchwycenie równowagi między rolnictwem, a przemysłem, aby kraj i naród nie był zależnym tylko od ślepych sił przyrody, lecz aby jego przyszłość zależała w głównej mierze od jego własnej silnej woli życia i rozwoju.

Porównajmy cyfry, gdyż one mówią nam więcej. Tym razem nie są one bynajmniej nudne. Przeciwnie, są pouczające, są żywe, gdyż ilustrują życie narodu, jego mozolny trud dźwigania się z wojennej niedoli ku jasnej przyszłości.

Sumy inwestycyjne za rok 1947 wyniosły ogółem 116 miliardów złotych, choć przewidziane były tylko na 85,4 miliardów. Główny nacisk położony został *na odbudowę transportu*, zatym kolei, dróg, mostów, taboru kolejowego i samochodowego, portów i ich urządzeń i taboru morskiego.

Wielkie zniszczenia wojenne nakazywały również zwrócenie bacznej uwagi na *budownictwo miejskie i wiejskie* z centralnym ośrodkiem odbudowy stolicy.

W przemyśle nacisk położono na odbudowę górnictwa i hutnictwa. W tym kierunku zakres prac z r. 1946 został podwojony.

W rolnictwie naczelnym zadaniem było zagospodarowanie Ziem Odzyskanych. Parcelacja objęła dalszych 224.000 ha ziemi, akcja scaleniowa 68.000 ha, a odwodnienie (głównie Żuław) 67.000 ha. Melioracje wykonane zostały w 100 proc.

Nie ulega wątpliwości, że rok 1948 da lepsze rezultaty, gdyż posiadamy więcej doświadczenia i potrafimy lepiej związać zagadnienia odbudowy z planem. Szerzej również potraktowane zostały w ogólnym planie inwestycje spółdzielcze i prywatne.

O ile zasadniczą cechą dwóch pierwszych lat odbudowy były remonty zniszczeń (w r. 1946 — 93 proc., w r. 1947 — 70 proc.), o tyle w roku bieżącym przystępujemy w szerszym zakresie do tworzenia nowych budowli. Oznacza to nie tylko odbudowę, ale i rozbudowę, zwłaszcza w przemyśle, a na ten cel przeznaczono ogółem 40 proc. sum inwestycyjnych.

Niejednego dręczy zapewne pytanie, skąd rząd bierze tak ogromne sumy na finansowanie rozbudowanego planu gospodarczego? Może zadłuża się za granicą? W bardzo niewielkim stosunku. Okazuje się, że w kraju znajdują się dostateczne kapitały dla sfinansowania planu. W r. 1946 udział kapitałów krajowych w odbudowie wyrażał się cyfrą 69 proc.; w r. 1947 — 86,4 proc.; na r. 1948 przewidziane jest 88,5 proc. Z tych cyfr porównawczych widać, jak w miarę oddalania się od wojny i intensywnej pracy wzrasta stopień zamożności społeczeństwa. A wysiłek jest nie mały. Ogólna wysokość sum inwestycyjnych na rok 1948 wynosi 193,8 miliardów i kto wie, czy sumy te nie zostaną w trakcie wykonywania planu zwiększone.

Któż mógłby przypuszczać, że u schyłku trzeciego roku pokoju będziemy zdolni do takiego wysiłku? Ale wysiłek ten był i jest konieczny, gdyż stanowi on najważniejszy i zasadniczy czynnik naszego rozwoju. Podziwiamy ten wysiłek sami, gdyż nie przypuszczaliśmy, że będzie nas nań stać. Podziwiają go obcy, którzy na nas patrzą. Niedawno jeden z najpoważniejszych organów gospodarczych świata, londyński „Economist" pisał, że gdyby Brytyjczycy zdolni byli do takiego wysiłku pracy, Wielka Brytania nie znajdowałaby się w takich trudnościach gospodarczych, z jakimi się boryka.

Z tego własnego wysiłku możemy być najbardziej dumni, nie przestając być w dumie skromni.



Niebezpieczni wywrotowcy

Jak wiadomo Południowa Afryka kroczy w pierwszym szeregu pionierów cywilizacji zachodniej. W każdym bądź razie tak twierdzą obecni rządcy tego kraju. „Tydzień" donosił już wielokrotnie o dyskryminacjach stosowanych w kraju gen. Smutsa wobec murzynów i hindusów. Ostatnio Afryka Południowa została ogarnięta panicznym strachem przed wywrotowcami. W związku z tym zakazano rozpowszechniania dzieł takich autorów jak Rabelais i Honoré de Balzac.

Biedny Gargantua, biedny ojciec Goriot.

(P)

Jeszcze o „V"

SŁYNNE niemieckie bomby rakietowe, „tajna broń" Hitlera nie schodzą z łam prasy. Ostatnio opublikowano dane zebrane przez wywiad przemysłowy państw anglosaskich i ujawniono, że Niemcy mieli w projekcie i częściowo w wykonaniu aż 138 odmian pocisków rakietowych i bomb kierowanych na odległość.

Typ A4 miał 15 metrów długości i ważył tyleż ton, typ A9 wyróżniał się olbrzymim zasięgiem działania — 5.000 km i szybkością 3.390 kilometrów na godzinę.

Warto zapytać się, co by się stało, gdyby Armia Czerwona czekała, aż Churchill zrealizuje swoją obietnicę w sprawie drugiego frontu. Chciał przecież czekać do roku 1946.

(P)

II. HERCEN O POLAKACH*)

Oprócz niezliczonych wzmianek i całych rozdziałów (np. „Parowiec Ward Jackson", „Zygmunt Sierakowski", „Bakunin a sprawa polska", „Przyczynki do sprawy polskiej" i inn.), jakie poświęca Polakom w swych Pamiętnikach Hercen, jest w tych Pamiętnikach rozdział szczególnie interesujący. Nosi on tytuł „Wygnańcy polscy" i opowiada o emigracji polskiej po rewolucji listopadowej, po wypadkach roku 1848 i 1849, emigracji, której ogniskiem stało się Towarzystwo Demokratyczne, założone we Francji, a potem przeniesione do Londynu i kierowane przez tzw. Centralizację. Przewodniczył jej długie lata Stanisław Worcell (1799 — 1857), polski „socjalista utopijny", serdeczny przyjaciel Hercena. Szlachetna postać Worcella, staje się punktem środkowym rozdziału o wygnańcach polskich, omawiającego czasy londyńskie naszej emigracji.

Posłuchajmy naprzód, jakie jest ogólne zdanie Hercena o polskich bojownikach r. 1830 — 1831 „Emigracja polska — pisze Hercen — najstarsza spośród wszystkich emigracji, wyczerpała się bardziej niż inne, ale była uporczywie żywotna. Przeszedłszy granicę swego kraju, Polacy wzięli ze sobą swoją ojczyznę i, nie pochylając głowy, dumnie, a posępnie ponieśli ją przez świat. Europa rozstąpiła się z szacunkiem przed uroczystym pochodem odważnych wojowników. Narody składały im hołd. Królowie usuwali się na stronę i odwracali, by zrobić im przejście i nie zauważyć ich. Europa zbudziła się na chwilę na odgłos ich kroków, znalazła łzy i współczucie, znalazła pieniądze, by im dopomóc. Smutny wizerunek wygnańca polskiego, tego rycerza niepodległości narodowej, wraził się w pamięć ludów; a wiara tego rycerza, po dwudziestu latach pobytu na obczyźnie, nie osłabła, i na każdym dziejowym apelu ludów w walce o wolność, w godzinach największego niebezpieczeństwa Polacy pierwsi zawsze odpowiadali: obecni!"

Jakiż to piękny i wzruszający, a przecież doskonale wierny i prawdziwy obraz! Istotnie, tak było wówczas; istotnie, Polak stał się wówczas dla Europy symbolem cnót obywatelskich, rewolucyjnych i narodowych.

Niemniej wierny, acz ciemny, jest obraz drugi— po latach dwudziestu, gdy czas — edax rerum — czas, pożeracz wszystkiego, zrobił swoje. Hercen pisze: „Od r. 1849 zaczyna się dla emigracji polskiej okres największego przygnębienia. Żadnej nadziei na przyszłość, ani kropli żywej wody. Zdawało się, że następuje apokaliptyczny czas, prorokowany przez Krasińskiego. Odcięta od kraju, emigracja polska pozostała na drugim brzegu i, niby drzewo, pozbawione soków, więdła, usychała, stawała się obca swej ojczyźnie, nie przestając być obca tym krajom, gdzie żyła..."

Same przez się nasuwają się tu podobieństwa i paralele do naszej dzisiejszej londyńskiej emigracji, która również więdnie, usycha i staje się dla nas obca. Ale snuć podobieństwa nie jest naszym zadaniem w tej chwili, tym bardziej, że ówczesne postacie emigrantów polskich, z Worcellami i Mickiewiczami na czele, mają wymiary neskończenie większe od tych, co chcą nas dzisiaj na Zachodzie reprezentować. Zajmijmy się tedy Worcellem, jak go Hercen przedstawia.

„Tak — stwierdza Hercen — Worcell był człowiek święty. Umyślnie używam tego słowa, ono bowiem najlepiej określa charakter Worcella. Całe jego życie było jednym wielkim czynem bezgranicznego poświęcenia się i oddania sprawie Polski i demokracji. Urodzony w zbytku i blasku hrabiowskim, Worcell umarł w nędzy, wyrzekłszy się tego wszystkiego dla swych ideałów... Była to jedna z tych jednolitych, jak z kamienia wykutych, fanatycznych, powiedziałbym, postaci, które mają w życiu jedną wielką myśl, i do urzeczywistnienia jej dążą niezłomnie. Takich ludzi widzieliśmy na przykład w epoce Renesansu i Reformacji...".

W prostych, lecz jakże wstrząsających słowach opowiada Hercen o śmierci Worcella, który umierał, wycieńczony pracą nad siły, wymęczony przez astmę, postępującą w nim szybko w mglistym i wietrznym klimacie londyńskim. Umierał w swej ubogiej izbie, prawie w suterynie. Przed samą śmiercią wezwał do sobie swego wiernego przyjaciela, Józefa Mazziniego, szermierza niepodległości włoskiej. Przerywanym głosem, krztusząc się i dusząc, zażądał od Mazziniego uroczystej przysięgi, że „Polska nie będzie zapomniana w chwili przebudzenia się ludów". Gdy Mazzini, w imieniu rewolucji europejskiej, nie tylko złożył mu tę przysięgę ustnie, ale spisał ją na papierze i odczytał drżącym ze wzruszenia głosem, gasnące oczy Worcella — pisze Hercen — zabłysły szczęściem, na ustach wystąpił ostatni uśmiech wiary i nadziei.

Pogrzeb Worcella, pochowanego na odległym cmentarzu londyńskim Highgate, stał się manifestacją przymierza wszystkich demokratycznych odłamów emigracyjnych, tudzież Anglików jako gospodarzy, którzy wzięli na siebie koszty pogrzebu. Hercen jako przedstawiciel „nowej Rosji" niósł razem z Polakami trumnę do grobu; szli za nią: Francuzi, Włosi, Węgrzy, składając ostatni hołd „świętemu męczennikowi". Gdyby to było możliwe — rozmyśla Hercen — jakiż pomnik „aere perennius" — trwalszy nad spiże — wznieślibyśmy Worcellowi! I na samotnym grobie jego wyrylibyśmy napis: „Sta, viator! Herois sepulcrum..." Stój, wędrowcze: oto grób bohatera...

A możeby tak, w tym roku Wiosny Ludów i wspomnień historycznych zająć się sprowadzeniem do ojczyzny szczątków jednego z pierwszych, a nieugiętych bojowników, demokracji naszej?

JERZY WYSZOMIRSKI

*) Por. felieton pt. „Wizerunek Hercena" w nr 9 (85) „Tygodnia" z dn. 7 bm.



BEFSZTYK TATARSKI

Właściwie to był żony pomysł.

— U moich rodziców — powiada — zawsze na przekąskę dawało się befsztyk tatarski. Chociaż byłam wtedy mała, ale pamiętam, — powiada — że zajadali się wszyscy.

— Owszem, — mówię — sam gdzieś jadłem i nie mogę powiedzieć, rzecz nie jest zła. Tylko trzebaby tak obliczyć, żeby na osobę po dwa befsztyki wypadły, choćby mniejsze, bo, wiadomo, smaczne danie wzięcie ma większe.

— To już Agnieszki sprawa. Chyba nie poto mam kucharkę, żebym się miała sama przy patelni prażyć, — w głosie małżonki brzmiał ton urazy.

Spraszając gości przez telefon rzucałem od niechcenia:

— Nic takiego nie będzie. Wódeczka, jakieś zakąski, befsztyk tatarski, o ile pan lubi..

Wszyscy odpowiadali:

— Befsztyk tatarski? Przepadam...

Do dziś nie mogę sobie zdać sprawy z błyskawicznego rozwoju wypadków. Tempo było istotnie oszałamiające.

Zaraz. Jak to się zaczęło?

Acha! Najpierw zjedliśmy śledzika. Dobry był. W oliwie, z cebulką. Potem jajka w musztardowym sosie i szynka. Wszyscy chwalili. Dalej sałatka z jarzyn, bardzo smaczna. Strata Agnieszki da mi się ogromnie we znaki.

Wreszcie podano befsztyk tatarski. Goście, zajęci jadłem, nie zwrócili na niego uwagi, ale mój czujny wzrok gospodarza odrazu uderzył niezwykły widok.

Na półmisku leżała kupa surowego mięsa, udekorowana jakiemiś siekaninkami. Na wierzchu widniały trzy surowe żółtka.

Przerażony spojrzałem na żonę, która również zbladła. Potem zerwała się i pobiegła do kuchni, skąd po chwili doszły do moich uszu odgłosy gwałtownej sprzeczki. Kiedy żona wróciła na jej policzkach kwitły niezdrowe rumieńce. W odpowiedzi na moje pytające spojrzenie mrugnęła uspakajająco.

— Może kto z państwa pozwoli... To jest befsztyk tatarski — powiedziała nieśmiało.

Kilka osób spojrzało niepewnie na półmisek. Nikt nie miał odwagi zrobić początku.

— Proszę, pan podobno przepada, — zachęciłem najbliższego gościa...

— Tak.., oczywiście...

Sąsiad sięgnął do półmiska i nałożył sobie kupkę mięsa, unikając starannie uszkodzenia żółtka i ozdób z siekaninek. Ośmieleni trochę jego przykładem, goście naśladowali go kolejno z całą ostrożnością, tak, że wkrótce na półmisku zostały tylko żółtka i dziwny garniturek.

Pomimo całej odrazy do niepapetycznego dania, uważałem, że wypada mi również nałożyć sobie odrobinkę. Zerknąłem na sąsiadów, ciekawy jak to im idzie.

Nikt sie jakoś nie kwapił z jedzeniem. Jeden z namaszczeniem smarował chleb masłem, drugi coś opowiadał zapamiętale sąsiadce, która udawała, że go słucha, trzeci zachęcał współbiesiadników do wychylenia kieliszków.

Było widoczne, że każdy chce [illegible] kać na czasie.

— No, panowie!... Pod befsztyk tatarski, — zdecydowałem się na bohaterski czyn.

Wypiłem wódkę i szybkim ruchem widelca ulokowałem swoją porcję w ustach. Kilka osób zrobiło to samo. Widziałem ich rozpaczliwe wysiłki przełknięcia przeklętej potrawy i współczułem im bardzo.

Ze mną działo się coś podobnego. Nadludzką siłą przezwyciężyłem wreszcie wstręt i z ulgą stwierdziłem, że moi goście poradzili sobie również. Ale przed dalszą konsumcją zaczęli się kręcić.



W ciągu godziny straciłem żonę, przyjaciół i kucharkę

Ten sobie zmieszał befsztyk tatarski z sałatką z jarzyn, ten jadł ze śledziem, ów z szynką, a kilku, na własne oczy widziałem, jak zgarniali ukradkiem mięso na rękę i zawinąwszy w chustkę, lub serwetkę, chowali do kieszeni.

Było jasne, że nie na zapas.

Te wszystkie fortele nic nie pomogły. Po kwadransie połowa gości pożegnała nas, z powodu małej niedyspozycji. Druga połowa opuściła nasz dom w uzasadnionym popłochu.

Potem rozstała się z nami Agnieszka, obrażona na gorzkie wymówki, jakich nie szczędziliśmy jej oboje, z powodu niedosmażenia fatalnego befsztyka.

Po dramatycznej rozmowie z żoną, której zarzuciłem brak należytego zainteresowania kuchnią, co skompromitowało nasz dom i doprowadziło kilkanaście osób do utraty zdrowia, moja małżonka opuściła mnie również.

Tak, w ciągu godziny, straciłem żonę, przyjaciół i kucharkę.

Mam nadzieję, że sprawa da się naprawić. Że Agnieszka do mnie wróci.

Dziś wiem, że z nas wszystkich ona jedna była niewinna.

Quas

Kalendarzyk historyczny

11 MARZEC

1544 ur się poeta, Tasso Torquato.
1818 przywiezienie zwłok Kościuszki do Krakowa.
1908 zm. Edmund de Amicis.
192[illegible] [illegible]uchwalenie przez sejm budowy [illegible]ortu w Gdyni.
194[illegible] [illegible]orpus polski zamieniony na I Armię Polską.

12 MARZEC

1365 [illegible]twarcie uniwersytetu w Wie[illegible]niu.
18[illegible] [illegible] August C[illegible]wski.
1935 zm. ojciec chińskiej rewolucji — Sun-Jat-Sen.

13 MARZEC

1781 wykrycie gwiazdy Ur[illegible]
1820 uk[illegible] [illegible]ski, wydalający Jezuitów z Rosji.
1832 zm. malarz Aleksander Orłowski.
1899 ur. się poeta Jan Lechoń.
1926 zm. historyk Józef Dąbrowski (Grabiec).

14 MARZEC

1765 zm. Elżbieta Drużbacka.
1772 ur. się gen. Grzegorz Chłopicki.
1779 ur. się gen. Józef Dwernicki.
[illegible] ur. się Ignacy Krasicki.
1804 ur. się kompozytor, Jan Strauss (ojciec).
1879 ur. się [illegible] Albert [illegible]
1932 zm. ekonomista francuski, Charles Gide.

RODZICE! — UWAGA!

Kochacie niewątpliwie ponad wszystko swoje dzieci...

Rozkoszne dzieciństwo Waszych pociech jednak szybko minie, wspomnienia z tego słonecznego okresu zaczną się zacierać i blednąć. Jako trwałe pamiątki z tych lat, kiedy Wasze „skarby" stawiały pierwsze nieporadne kroki, kiedy patrzyły na świat ufnymi, naiwnymi oczyma, kiedy buźki ich rozpromieniały się uśmiechem lub krzywiły rozbrajającym płaczem — POZOSTANĄ JEDYNE DOKUMENTY — FOTOGRAFIE.

Oceniając odpowiednio wartości tych dokumentów dla rodziców, ogłaszamy.

WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY «TYGODNIA»

pod hasłem

NASZ SKARB NAJWIĘKSZY DZIECKO

Tych naszych Czytelników, którzy pragną wziąć udział w konkursie prosimy o nadsyłanie oryginalnych fotografij DZIECI DO LAT 10, zdjęć branych wprost z życia, ostrych, o ile możności na błyszczącym papierze. Poza dziecka i wymiar fotografii obojętny.

KAŻDA FOTOGRAFIA DZIECKA

odpowiadająca wymaganiom technicznym,

BĘDZIE REPRODUKOWANA W »TYGODNIU«

w kolejności nadsyłania zdjęć.

Dla wzięcia udziału w Konkursie należy wyciąć poniższy kupon, który prosimy dołączyć do fotografii. ZGŁOSZENIA NA KONKURS NADSYŁAĆ MOŻNA DO DNIA 1 MAJA 1948 ROKU.

Po zakończeniu Konkursu Czytelnicy w ogólnym plebiscycie wybiorą, które dzieci drukowane w „Tygodniu" najbardziej im się podobają. Szczegóły plebiscytowego głosowania podamy w odpowiednim czasie.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

1. nagroda — zł 25.000 i tytuł: «NAJMILSZE DZIECKO TYGODNIA»

2. nagroda — zł 15.000, 3. — zł 10.000

(Fotografie zdobywców trzech pierwszych miejsc będą reprodukowane na naszej okładce).

10 nagród po zł 1.000,

50 nagród książkowych oraz szereg dalszych które podamy w numerach najbliższych.

Uwaga! Fotografie bez kuponu nie będą zamieszczane.

Na zwrot zdjęć prosimy przesyłać znaczki pocztowe.



Kupon Nr ....

(wstawi Redakcja)

1. ....
Nazwisko i imię dziecka

2. ....
Adres

3. ....

Jaki podpis pod fotografią ma być zamieszczony — wypełniają Rodzice Wycią[illegible] i doł[illegible] do fotografii.

Marko Larsen



FOKE WULFY... atakują

Słońce ukryte za olbrzymim piętrzącym się bałwanem, białej jak mleko chmury, ukoronowało ją przepiękną [illegible]

Strzeliste snopy rozpraszały posępny półmrok, panujący nad morzem, oświetlając jego powierzchnię jaskrawymi plamami. Tam, gdzie dotarły jego życiodajne promienie, ciemno - zielone brudnawe fale Atlantyku, mieniły się ciepłym, złotawym kolorem, tworząc radosne wysepki wody, mieniącej się bielą pienistych grzbietów fal.

Lekki wietrzyk przesuwał białe kłębiące się masy chmur, nadając im coraz to nowe bardziej fantastyczne kształty, odtwarzając olbrzymie tarasy, strzeliste minarety i budując z obłoków łańcuch niebiańskich gór, poprzeżynanych łagodnymi wąwozami i ostrymi przepaściami, których brzegi lśniły blaskiem ukrytego słońca.

Wędrówka chmur naprzemian gasiła i zapalała promienie, które pieściły coraz to nowe połacie morza, to pogrążając je w nieprzyjemnym chłodzie cienia, to grzejąc swym ciepłem i kolorem.

s/s „Couthern Cross“ wykorzystując dobrą pogodę pełną parą pruł fale Atlantyku.

Cała załoga chwaliła sobie spokojne, aczkolwiek monotonnie upływające dnie. Wszyscy byli w doskonałych humorach, urozmaicając pracę docinkami i głośnymi wybuchami śmiechu.

Czas upływał na pozór beztrosko.

Przy tylnej nadbudowanej platformie, naszego dwunasto - funtowego działa, kilka niedbale leżących dziwnych postaci, nawpół żołnierzy nawpół marynarzy, zabawiało się jakąś bliżej mi nieznaną grą w karty. Byli to popularnie przez nas zwani „Dems“. Obsługa naszych dział, żołnierze morskich jednostek Królewskiej Artylerii. Nosili oni swoje normalne mundury koloru khaki i nadęte kamizelki ratunkowe t. zw. „Mae West“. Zabawiali się swobodnie, a obok nich na umieszczonych w specjalnych przytrzymywaczach pociskach, leżały stalowe hełmy.

Tak działo jak i oni byli przygotowani do natychmiastowej akcji.

Pokrowce zdjęte, pociski pod ręką. To samo można było zauważyć wzdłuż całego pokładu. Na przedzie dwa szybko-strzelne działka typu „Oerlikon“ wyciągały ku niebu swe długie szyje. Na drugiej platformie, można było spostrzec lufę czterocalowego działa, groźnie wymierzonego w przestrzeń. Na pomocie sprzężone karabiny maszynowe Lewisa, dodawały otuchy swymi grubymi kształtami z podwójnymi bębnami amunicji.

Cała przestrzeń oceanu leżąca w zasięgu naszej widzialności, była ciągle skrupulatnie badana, przez punkty obserwacyjne, za pomocą silnych lornet. Przedsięwzięto wszelkie w naszych możliwościach leżące środki zapobiegawcze zaskoczeniu. Akcja na morzu toczy się zazwyczaj w tempie tak błyskawicznym, że sekundy decydują o losie statku.

s/s „Southern Cross“ szedł samotnie bez konwoju. Jak zwykle polegano na jego nieprzeciętnej szybkości i stosunkowo dobrym uzbrojeniu.

Załoga żartobliwie nazywała swój statek — handlowym krążownikiem. Podobała im się ta samodzielność, nieskrępowana zawiłymi instrukcjami i małą szybkością, cechującymi nie zawsze znowu tak bardzo bezpieczne — konwoje.

W wolnych chwilach załoga uczyła się obsługiwania dział i karabinów maszynowych na wypadek, gdyby ktoś ze stałej obsługi został ranny, lub zabity w czasie walki. Nauka nieobeznanych z tym zawodem marynarzy nie obeszła się bez komicznych sytuacji i docinków na temat nieżdarności.

Kulminacyjnym punktem tej poważnej zabawy w artylerzystów, było ostre strzelanie ćwiczebne. Stała obsługa, co pewien czas wstrzeliwała się, by nie wyjść z wprawy. Tym razem jednak, działa były obsługiwane przez nowowyuczonych członków załogi. Za cel obrano, pływającą gmatwaninę drzewa, zapewne resztki jakiegoś wraku. Postanowiono wykorzystać tę okazję, na przeprowadzenie ogólnej próby gotowości bojowej całego zespołu.

Załoga rozpierzchnięta po całym statku, została poderwana do akcji alarmem „Na stanowiska bojowe“. Dowodzący regularnej obsługi „Dems“ z mostku kapitańskiego miał ustalić czas od chwili alarmu, aż do pierwszego strzału działa, a reszta jego ludzi odpowiednio rozstawiona miała notować wyniki i wyszukiwać niesprawności, które później będą ogólnie omawiane.

Na odgłos przenikliwego dzwonka i wycia syreny, pokład zadudnił od kroków pędzącej załogi, która w biegu zakładała pasy ratunkowe i hełmy. Biegiem udałem się na mostek, do moich „Lewisów“. Po drodze mało nie stałem się niezdolny do akcji, przez zderzenie się z tuszą naoślep pędzącego Taffy, mojego amunicyjnego. Ta chwila zwłoki spowodowała, że gdy odciągałem zamki, usłyszałem grzmot naszych dział. Po chwili już sam dygotałem, przytulony do kolb, wodząc lufami po niebie w ślad za ewolucjami wyimaginowanego samolotu szwabskiego. Takie było bowiem zdanie Oerlikonów i Lewisów, podczas gdy działa rozprawiały się z „U-bootem“.

Bractwo z sercem przyłożyło się do tej próby ich bojowych zdolności i pokład aż trząsł się od szczekania karabinów maszynowych oraz basowego głosu dział.

Wynik był zadawalający. „Dems“ zapewniali nas, że mała lecz tak ważna różnica czasu między alarmem a pierwszym strzałem pomiędzy ich obsługą a naszą da się szybko usunąć po kilku podobnych ćwiczeniach.

„Dems“, który stał na mostku i widział moją kolizję z Taffym żartobliwie zaproponował, bym zmienił amunicyjnego, ponieważ jeszcze jedno zderzenie z tak potężną tuszą na pewno uczyni mnie niezdolnym do akcji całkowicie.

Załoga bardzo dużo z tego ćwiczenia skorzystała. Przede wszystkim nabraliśmy pełnego, a może nawet za bardzo optymistycznego zaufania co do naszych możliwości. Poza tym dało to nam sposobność brania bardziej czynnego udziału w walce.

Nikt z nas wtedy jeszcze nie przewidywał jak blisko jesteśmy ogniowej próby.

Chwila podniety, prawie całonocna dyskusja na temat naszej strzelaniny i życie powróciło do normalnego trybu. Pogoda nadal dopisywała. Obserwatorzy znów skrzętnie przeszukiwali wody Atlantyku za białym pieniącym się śladem torpedy, lub wstęgą oranej przez peryskop wody.

Aż pewnego popołudnia zahuczał okrzyk z „Look-outu“ - Unindentified - Aircraft! — Three oclock!“ Natychmiast lornety wszystkich obserwatorów skierowały się we wskazanym kierunku. — Samolot!

Zawył alarm bojowy. Z bijącymi sercami pędziliśmy na nasze stanowiska. Drżącymi rękami sprawdziłem spusty i wyrżnąłem długą próbną serię.

Z mostku zadzwoniono do maszynowni: „Pełną parą naprzód!“ — Statek zaczął drżeć od pełnych obrotów kotłujących wodę.

Na pewno przekroczyliśmy czerwoną strzałkę, pomyślałem, czując jak bardzo zwiększono szybkość.

Wszystkie lufy skierowane na zbliżający się punkcik, czekały na decyzję. Wytężając oczy przylepieni do stanowisk [illegible]śmy się w duchu, żeby to [illegible] „nasz“.

Niestety, rozpoznano szwaba. Był to „P[illegible] Atlantyku“ czterosilnikowy bombowiec o dalekim zasięgu „Focke-Wulf“ 200 C Kondor.

Odległość była dla naszego uzbrojenia wielka, jedynie 12-funtówka o wysokim kącie odchylenia mogła wejść w akcję.

Nie łudząc się, że Kondor nas nie zauważył, lub, że nas ominie, 12-ka otworzyła ogień. — Liczyliśmy na to, że zmusi on samolot do utrzymania się na wysokości, uniemożliwiając tym samym precyzję bombardowania. Niemiec jednak nie wiele sobie z tego robił i zatoczywszy krąg, odszedł w kierunku północnym.

Z naprężonymi nerwami czekaliśmy. — Taffy głośno wzdychając rzekł: — teraz drań będzie naprowadzał maszynę na cel.

Rzeczywiście. Po chwili na horyzoncie, ukazał się Kondor, nadchodzący tym razem na średniej wysokości w celu ułatwienia bombardierowi zadania. Sytuacja była nader nieprzyjemna. Jakiś nieludzki wprost strach opanował ludzi, lecz zdyscyplinowane ciała tym mocniej przywarły do broni szukając w niej ukojenia. Tylko blade twarze, zaciśnięte nerwowo szczęki, świadczyły o potędze przeżywanych uczuć.

Foke - Wulf lecąc na niskiej wysokości, nachodził statek „tête a tête“.

Z przenikliwym jazgotem Oerlikony otworzyły ogień, zasypując pokład kaskadą łusek. Ponura sylwetka maszyny znalazła się w pierścieniowych celownikach naszych Lewisów. Czekaliśmy stosownej chwili do rozpoczęcia ognia. Kapitan bacznie obserwował samolot, wiedząc dobrze, że na jego barkach spoczywa bezpieczeństwo statku i życie załogi. W takiej sytuacji omyłki lub spóźnione decyzje są niedopuszczalne. Sternik przeczuwając myśli kapitana z natężeniem wpatrywał się w jego usta.

W momencie, gdy samolot znajdował się w najdogodniejszej pozycji do zrzucenia bomb, a leżący bombardier prawdopodobnie naciskał spust, zaciśnięte w wąską linię, usta kapitana, wyrzuciły słowa: — Hard to port! — Reakcja sternika była natychmiastowa i idący z szybkością statek, gwałtownie zboczył z kursu, tym samym unikając salwy bomb, które z ogłuszającym hukiem podniosły olbrzymie fontanny wody za prawą burtą.

Nadbudówki zostały naszpikowane odłamkami, lecz na szczęście obeszło się bez ofiar w ludziach.

Po bombach został tylko ślad w postaci wielkich pieniących się kręgów na morzu i chmurek złożonych z drobnych pyłków wody, porwanych z fontann przez wiatr.

Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

Foke-Wulf powtórzył procedurę. Tym razem, przyjęliśmy go bardziej skutecznym ogniem, ponieważ zszedł z kursu nie zrzucając bomb.

„Dwa — Zero“! — Głośno zaopiniował Taffy.

Strach uleciał już przy pierwszych strzałach. Byliśmy bardziej opanowani. Mózg zajęty był błyskawicznymi obliczeniami, a ręce automatycznie wykonywały powierzoną im pracę.

Przy trzecim ataku, otworzyłem ogień na maksymalną odległość, prowadząc Niemca długimi seriami.

Znów, dzięki wspaniałej orientacji kapitana i sternika, uniknęliśmy bomb.

Strzelcy Foke - Wulfa, zasypali pokład gradem pocisków, zabijając jednego z „Demsów“ i ciężko raniąc dwóch z obsługi Oerlikonów.

Ranni zostali ewakuowani z pokładu a ich miejsca natychmiast obsadzono nowymi ludźmi.

Załogę Foke - Wulfa musiała ogarnąć bezgraniczna wściekłość. Lawirujący niczym motorówka statek, raz po raz wymykał się w najważniejszych momentach. Niemcy zdecydowali się na najniebezpieczniejszą tak dla nich jak i dla statku rzecz — lot koszący.

Nadchodził decydujący moment w tej zawziętej walce o prawo bytu i powrotu do bazy.

Załogi dział, Oerlikonów i Lewisów skupiły się na ten najważniejszy wysiłek. Wszyscy milczeli. Amunicyjni stali w pogotowiu.

Ciężkie dudnienie maszyn, przypominało o kolegach pod pokładem, odciętych od świata nie mających możliwości śledzenia tej tak bardzo ich obchodzącej walki. Tylko przez telegraf, trzaskaninę wystrzałów i głuchych odgłosów wybuchających w pobliżu bomb, mogli w swej wyobraźni odtworzyć obraz piekła szalejącego na pokładzie.

Niemiec szedł na wysokości masztów. Ciemne cielsko jego kadłuba zlewało się z kolorem fal.

W odpowiedniej chwili, gwarantującej największą skuteczność, rozpoczęliśmy zaporę, plując w niego wszystkim na co nas było stać.

Tuż przed statkiem Niemiec wyciągnął maszynę w górę, zrzucając bomby.

(Ciąg dalszy nast.)

100 WIERSZY O SPORCIE

W BOKSERSKICH MISTRZOSTWACH, które odbyły się w 13 okręgach w całej Polsce, wzięło udział prawie 500 zawodników. Liczba ta wskazuje na stały rozwój tego sportu wśród naszej młodzieży. Mówiąc o młodzieży, trudno zaliczyć do niej śląskiego boksera Wockę, który zdobył tytuł wicemistrza w wadze ciężkiej. Wocka ma ...47 lat. Tytuł zdobył zupełnie zasłużenie, co daje obraz poziomu boksu śląskiego w tej kategorii.

Mistrzostwa wyłoniły szereg nowych nazwisk, młodych i utalentowanych zawodników. Weterani jeszcze się trzymają, ale mistrzostwa okręgowe były dla nich niby dzwonkiem alarmowym, sygnalizującym im, że czas odejść już na dobrze zasłużoną emeryturę.

Sensacją zawodów okręgu warszawskiego było spotkanie finałowe Kolczyńskiego z Zagórskim. Młody pięściarz „Sierakowianki" zmusił naszego weterana do największego wysiłku. Panuje powszechna opinia, że Zagórski w najbliższym już czasie będzie godnym następcą „Kolki".

W OGNIU WALK bokserskich przypomniała o sobie pewna kategoria publiczności. W każdym mieście i na każdych zawodach zjawia się zawsze pewne grono osób, które za punkt ambicji uważa wejście bez biletów. Temperament tej kategorii widzów wzrasta zawsze w miarę stawki zawodów.

Zawody w Łodzi przekroczyły znacznie dotychczasowe ramy zachowania się amatorów gratisowych wejść. Z zemsty za odmowę wpuszczenia ich bezpłatnie na zawody, osoby te wytłukły kamieniami szyby w szklanym dachu, a kiedy następnego dnia przeniesiono imprezę do innej hali, powtórzyło się tłuczenie szyb. Wezwana na pomoc straż ogniowa usiłowała gasić namiętności rozwydrzonej publiczności przy pomocy strumieni zimnej wody. Wypadki łódzkie zmuszają do refleksji. Winni wejrzeć w nie wszyscy ci, którym leży na sercu dobro sportu i wychowania młodzieży. Należy znaleźć źródło tego rodzaju zachowania się. Tolerując zło, odstraszamy innych od udziału w sporcie.

W ZAKOPANEM na zawodach narciarskich o puchar Tatr, rewelacją w skokach otwartych był młody śląski narciarz Antoni Wieczorek ze Szczyrka. Zajął on drugie miejsce za weteranem Staszkiem Marusarzem, skokami 71 i 75 m. rokując jak najlepsze nadzieje na przyszłość.

KOLARZE NASI będą musieli rozdwoić się. W maju oczekują ich dwa jednoczesne wyścigi na trasie Warszawa — Praga i Praga — Warszawa. Oba wystartują 1 maja. Pierwszy o długości trasy 848 km przybędzie do Pragi w rocznicę rewolucji praskiej, 5 maja. Drugi dłuższy, bo 1.048 km. będzie miał metę w Warszawie, w rocznicę zwycięstwa nad Niemcami. Dwa wyścigi obejmą więc Święto Pracy i 2 rocznice. Wyścigi odbędą się w konkurencji międzynarodowej. Kto. w jakim wyścigu pojedzie, będzie zdecydowane w połowie kwietnia.

MOŻE KTO Z CZYTELNIKÓW wybiera się na letnią olimpiadę do Londynu? Chętnym na wyjazd radzę zapoznać się z cenami biletów na poszczególne imprezy olimpijskie. Dla ułatwienia orientacji, przytaczam ceny, w przeliczeniu na złote po kursie oficjalnym. A więc: boks (12 biletów w abonamencie na cały turniej) ...44.000 zł, pływanie (24 bilety ...40 tys. zł, lekkoatletyka (8 biletów) ... 26.400 zł.

Dla tych, którym zabrakło by dewiz na powyższe imprezy, polecam tańsze, a mianowicie: kolarstwo — 7.000 zł (ale tylko 3 dni), szermierka i gimnastyka po 5.000 zł.

Gdyby i te ceny były zbyt wygórowane, można będzie ograniczyć się do wejścia na stadion na ...otwarcie i zamknięcie olimpiady, cena tylko po 3.200 zł.

Na każdą z tych imprez warto zabrać ze sobą z 10 dk wędliny, oczywiście z zapasów przywiezionych z Polski...

ZYGMUNT WEISS



W bokserskich mistrzostwach okręgowych w Warszawie duży sukces odnieśli członkowie Spółdzielczego Klubu Sportowego. Żurawski w wadze lekkiej zdobył mistrzostwo, bijąc w finale Kosińskiego, a Błażejewski (w. półśrednia) przegrał niezasłużenie w finale z Wasiakiem

Film TYGODNIA

WYSTAWA RĘKOPISÓW W MUZEUM NARODOWYM



Dnia 4 bm. członkowie Sejmowej Komisji Kultury i Sztuki wraz z Premierem Cyrankiewiczem i wicemin. Jabłońskim zwiedzili w Bibliotece Narodowej w Warszawie wystawę rękopisów (zebrano tu rękopisy od X w. aż do ostatnich czasów) (SAP)

Z ZAWODÓW NARCIARSKICH W ZAKOPANEM



Międzynarodowe zawody o Puchar Tatr w Zakopanem. Na zdjęciu: zawodniczki do biegu zjazdowego pań. (SAP)

(Dokończenie ze str. 6).

Unik w takiej sytuacji jest bardzo ciężki do przeprowadzenia i cały statek zadrżał od wybuchu bomb. Olbrzymi słup ognia wytrysnął na dziobie zwalając nas z nóg. Ostry gryzący dym zasnuł przednią część pokładu.

Działo wraz z platformą tworzyło jedną potwornie pokręconą, dymiącą jeszcze masę żelastwa. Obsługa została zmieciona nie pozostawiając po sobie śladu. Reszta śmiercionośnych pigułek znów znalazła się poza burtą.

— „Cztery — jeden". — mruknął Taff, ocierając rękawem spoconą twarz.

Foke-Wulf też nie wyszedł cało z ostatniego spotkania. Celna seria Oerlikonu trafiła jeden z silników w momencie, gdy pilot podrywał maszynę do góry. Niemiec snując dymem, znikł na zawsze, przynajmniej dla nas, na dalekim haryzoncie. Widocznie miał bardzo daleko do bazy. musiał gasić ogień, a bał się zaryzykować atak na trzech silnikach.

Nasze straty były pokaźne: 6-ciu zabitych, 3-ch ciężko rannych, paru lekko kontuzjowanych oraz szereg drobnych skaleczeń odłamkami.

Jednak zadanie wykonaliśmy. Szczęśliwie wspólnymi siłami ochroniliśmy statek od niechybnej zagłady.

MARKO LARSEN

OBJAŚNIENIA

D. E. M. S. = Skrót ang. Obronny [illegible] k Marynarki Handlowej.

M[illegible] West = Artystka o wybitnie rozwiniętych kształtach, stąd nazwa dla nadmuchanych kamizelek ratunkowych.

Taffy = Przydomek nadawany walijczykom.

Look-out = Punkt obserwacyjny, gwara.

Unindentyfied aircraft — three oclock = Nierozpoznany samolot — trzecia godzina. Godzina określa kierunek. Dziób = dwunasta rufa = szósta, lewa burta = dziesiąta, prawa = trzecia.

Zapora = Ogień zaporowy.

Hard to port = Mocno w lewo.



Hokeiści wykorzystują ostatnie mroźne dni.

Kazimierz Lasocki

Urywki wspomnień

(Ciąg dalszy z Nr 9)

Oglądać można było w Muzeum w Sukiennicach Grottgera „Polonię" i „Lituanię" jak również Matejki „Hołd Pruski", „Kościuszkę pod Racławicami" i inne wiekopomne arcydzieła o których my w Warszawie tylkośmy marzyli.

Tam w teatrze wyrabiały się polskie talenty: Modrzejewska, Solski, Frenkiel, Kotarbiński, Kamiński i inni i dopiero tam zyskawszy sławę, Warszawa ich wynajmowała — i drogo płaciła i ci imponowali nawet naszym okupantom.

Zdarzył się taki np. fakt.

Roland (właściwe ojcowskie nazwisko Konopka) kiedy miał stawić się do służby wojskowej, jako urodzony w tzw. Królestwie, uciekł do Krakowa, tam przybrał pseudonim „Roland" i pod tym pseudonimem wstąpił do Teatru. Gdy zyskał sławę, został zaangażowany do teatru w Warszawie pod nazwiskiem Rolanda i choć wszyscy wiedzieli, że to tenże sam Konopka, nikt się go nie czepał i żył sobie do śmierci i grał w teatrach rządowych wychowując dwóch synów także Konopków - Rolandów na dobrych aktorów.

Ale dosyć o mądrym Krakowie, który Nowaczyński nazwał Nowemi Atenami, trzeba teraz wspomnieć o burżuazyjnej Warszawie, która się uprzemysławiała, budowała, rosła, rozszerzała i bogaciła. Zaczęło się i u nas nieco poprawiać, bo jaki taki zbogaciwszy się, wiedział że to jeszcze nie wszystko i że to szczęścia nie daje, więc trzeba żyć ze społeczeństwem i temu społeczeństwu coś dać, zwłaszcza, że i u nas byli ludzie z bijącym po polsku sercem i mózgiem.

Nie było u nas kariery politycznej lub urzędniczej, ani też wojskowej, żeby można było swoje dobre chęci i głowę pokazać, więc próbowano coś robić społecznie, jawnie, lojalnie, nie konspiracyjnie. Historii tych usiłowań opisywać nie będę, jak to było na polu naukowym, w Kasie Mianowskiego lub na innych polach, bo konkretnie wiem tylko o Zachęcie i jej stosunkach i działalności społecznej. Garstka ludzi dobrej woli w pracowni — zdaje się Gersona czy Szypego — wraz z obywatelami nie artystami) (nie znałem tych ludzi, bo to było dawno przede mną, a źródeł historycznych nie mam, bo piszę z pamięci) stworzyli instytucję jedyną w swoim rodzaju, gdzie publiczność i artyści wzajemnie się wspomagali.

Na marginesie muszę dodać, że ta instytucja tak się przyjęła, tak wrosła w obyczaj obywatelski, że nie można było nawet pomyśleć, aby lojalny obywatel po nabożeństwie, nie poszedł (ze swoim lub pożyczonym biletem) do Zachęty. Nie widziałem nigdzie, ani na Wschodzie ani za Zachodzie, żadnej wystawy, która by była tak licznie zwiedzana jak Zachęta. W komitecie stosunki były nader familijne, nie napuszone, nie formalnooficjalne — jak to później było. Ludzie stanowiący Komitet znali się przed tym dobrze i wiedzieli co instytucji potrzeba, toteż na „Walnym Zebraniu" — które się zwoływało raz do roku — zgodnie uradzali, że tego a tego trzeba poprosić na to lub owo stanowisko, a gdy ten nie był przypadkiem z jakich powodów obecnym na zebraniu, to się mówiło: „Ja się będę z nim widział, to mu powiem, że jest wybrany", lub: „To się do niego napisze" i tylko w protokole zaznaczono, że taki a taki itd., byle formalności stało się zadość.

Warunki w jakich ówcześni malarze żyli, były zgoła odmienne od dzisiejszych, zwłaszcza malarze — bez nazwiska — którzy nie mieli lukratywnych zarobków, gdyż wtedy ci co mieli dobre nazwisko i co sprzedawali, brali sumy, za które można było długo i dostatnio żyć, ale byli też i inni, którzy nie mogąc nikogo okradać i robić kompilacji, jak się to dziś robi, musieli więc zdobywać się na własne choćby marne pomysły (było wówczas paskudne dążenie do robienia obrazka, które by burżuj mógł kupić i nad kanapką powiesić), był to więc bardzo marnie żyjący proletariat malarski.

Chcę tu dać przykład tego, środowiska, opowiadając pewne dramatyczne i komiczne wydarzenia.

Nazywał się Marski, źle ubrany, źle karmiony, wynędzniały, tajemniczy, ale z wielką godnością i ambicjami rzekomego artysty-cygana, za jakiego się miał. Mieszkał wówczas w domu niejakiego Salerno dr Colonna, ul. Krakowskie Przedmieście 9 — którego nazywano „Cholerna di Canalia". Był to paskudny typ skąpca i sknery, który kochał tylko koty i hodował je w domu, pełnym smrodu z tego powodu. Dla ścisłości kronikarskiej trzeba dodać, że ów „Colonna" dziedzic dobrego nazwiska — miał bardzo brzydki proces kryminalny, a mianowicie wchodził w nieuczciwe porozumienie z woźnicami, którzy z podwarszawskich cegielni wozili do nowobudujących się domów cegłę i ustawiali ją w kozły po 200 sztuk. Otóż ci nieuczciwi woźnice w porozumieniu z nieuczciwym kamienicznikiem, przetrącali cegłę na pół i ustawiali ją tak kunsztownie całą stroną na zewnątrz, że kozły mające mieć po 200 cegieł, miały ich tylko po 150, resztę zaś 50 — zabierał Salerno i budował z tego kamienice. Miał później z tego powodu — jak mówiłem proces i został skazany.



Rys. W. Siemiątkowski

...nosił go wieczorem po knajpach, gdzie goście już byli podchmieleni i prezentował je

Jedną z takich kamienic był dom przy ul. Krakowskie Przedmieście róg Królewskiej, znany wszystkim ze znajdującej się na nim wieży-latarni. W tej to wieży mieszkał właśnie bohater mego opowiadania.

Mieszkać tam było arcy-niewygodnie, gdyż było za dużo światła, a za mało ciepła, bo nie było ani pieca, ani wody, ani żadnych sanitarnych wygód, przy tym wchodziło się tam po drabinie. Ten to Marski chcąc zarobić — malował obrazki o pornograficzno - pikantnej treści, a czasem nawet dorabiał do nich wiersze (był więc i poetą), nosił je wieczorem po knajpach, gdzie goście byli już podchmieleni — i prezentował je. Czasem coś sprzedał, czasem dostał poczęstunek, a czasem musiał się ze swoją muzą dobrze skryć.

Nie dawało mu to jednak widocznie lukratywnego zarobku, bo od paru miesięcy nie mógł zapłacić 14 rubli komornego i grubo był u gospodarza zadłużony, tak że ten podał go wreszcie do sądu — nie o należność — bo na otrzymanie jej lub rewindykowanie ze sprzedaży rzekomych mebli nie liczył, gdyż jedynym tam umeblowaniem, w którym (nie na którym) lokator spał, był siennik. Otrzymawszy wyrok eksmisyjny — gospodarz przyszedł z przedstawicielem prawa — ko mornikiem — i jego wykonawcą (wówczas stróżem), wyeksmitować niesumiennego lokatora w nadziei, że może znajdzie się inny, który będzie płacić.

Stanęli więc we trzech przed drzwiami lokalu i pan komornik zastukał i uroczystym, urzędowym głosem zawołał:

„W imieniu prawa proszę otworzyć", co zresztą było zbyteczne, gdyż drzwi były wywalone, tylko oparte o otwór drzwiowy. Wtedy gospodarz kazał stróżowi drzwi odsunąć i weszli do środka. W pokoju nie zobaczyli nikogo, tylko leżący na podłodze siennik, obok niego stojące z zabłoconymi cholewkami kamasze. Gospodarz kazał więc stróżowi wyrzucić siennik i kamasze. Kiedy ten biorąc się do wykonania polecenia, wziął za róg siennika, wysunęła się z niego chuda ręka, schwyciła kamasze, wciągnęła je do środka i zaciągnęła silnie obiema rękami otwór, czyli rozporek siennika. Na ten widok wszyscy nie wyłączając ponurego gospodarza — wybuchnęli śmiechem. Gdy się dość z tego dramatu naśmieli gospodarz zadecydował:

„A niech go diabli wezmą, niech mieszka dokąd zechce", i wyszli zostawiając go w spokoju. (Niedługo biedak tam mieszkał, bo w nędzy umarł).

Mieszkałem i ja tam kiedyś później, wraz ze swoim przyjacielem wówczas studentem prawa — Kazimierzem Ruszkowskim, któremu mam dużo w swej kulturze do zawdzięczenia, bo to był bardzo inteligentny człowiek. Nie chciał zostać adwokatem, choć się uczył prawa, mówiąc:

„To ja na to się uczę historii Rzymu i Greki, zdobywam kulturę, żebym potym pomagał ludziom oszukiwać się wzajemnie?"

Mieliśmy w tym podłym mieszkaniu nie mało biedy, zwłaszcza gdy mroźny wiatr wschodni dął nam prosto w rurę żelaznego piecyka, wystającą przez okno na wschód właśnie. Wtedy dym nas wypędzał z domu, ale nie było sposobu innego jak czekać, żeby wiatr się odwrócił. Kiedy się wiatr odwrócił, upamiętniliśmy naszą walkę z dymem w ten sposób, że ja narysowałem na dużym arkuszu papieru lwa siedzącego na obelisku i płaczącego od dymu (jak pod Termopilami na pamiątkę Leonidasowi i jego towarzyszom), a on napisał wiersz po grecku mniej więcej tej treści parafrazując napis termopilski: „Przechodniu idź do Salerny i powiedz temu (tu brzydki wyraz grecki) żeśmy zginęli od dymu i wiatru wschodniego, wierni lokatorzy tego mieszkania".

Przybiliśmy to na drzwiach na zewnątrz.

Wiedliśmy w nim życie proste, chłodne, i głodne, choć tam namalowałem najsłoneczniejsze swoje wówczas obrazy — i tam wymyśliłem łatwy sposób robienia porządku na stole. A mianowicie: wszystkie potrzebne na stole przedmioty były przywiązywane i przybite końcem sznurka do stołu, gdy więc na stole i wszystko ze stołu spadało, wtedy rzeczy na sznurkach przywiązane nie spadały na podłogę, tylko zwisały w powietrzu, wówczas brało się je za sznurki i stawiało z powrotem na stole.

On znów, pamiętam raz na święta, zrobił impresionistyczny porządek: kiedy zdał na Uniwersytecie jakiś egzamin i zeszyty z których się uczył nie były mu już potrzebne, podarł je na równe dość strzępki i rozsypał na podłodze, jak się posypuje podłogę tatarakiem, na Zielone Świątki.

Nie został adwokatem, ale został dobrym pedagogiem i pisał dobre łacińskie podręczniki. Ja znów nie robiłem tak jak Marski, tylko utrzymywałem się z rysowania portretów z fotografii, gdyż wówczas nie znano jeszcze bromosrebrnych papierów fotograficznych, na których możnaby było zrobić dobre powiększenia.

Artyści ówcześni — a raczej pseudoartyści — nie mieli takiej obfitości materiałów do swoich kompilacji, gdyż technika reprodukcji nie była tak łatwa i rozpowszechniona jak obecnie, gdzie jest tyle pocztówek rotograwiór i barwnych obrazków popularyzujących wielu wybitnych i mniej wybitnych artystów i ich dzieła sztuki. Wówczas prócz akwaforty, która jest sztuką samodzielną, był tylko drzeworyt odtwórczy, t. j. kopiujący jednobarwnie za pomocą drewnianej rytowanej kliszy — pieńka — obraz danego artysty, który wpierw musiał być na tym pieńku wspak narysowany. Samodzielnie twórcze rysunki robiło nie wielu, jak: Andriolli, Pilatti i inni. Drzeworytników zaś było więcej, którzy te rysunki wycinali w drzewie, jak Cholewiński, Nitsch, Gorazdowski, Zajkowski, Bliske, Klejn i wielu innych.

Dziś drzeworyt jest czymś zgoła innym niż był wówczas i dziś artysta odpowiada całkowicie za to co robi, bo sam komponuje, wycina, barwi i drukuje i jest to bardzo wysoką i popłatną sztuką, a nie tylko ilustracją. Również litografia różni się wiele od dawnej litografii, jak to wykazał Wyczółkowski, Rapacki, Stankiewiczówna i inni, t. j. tak zwana „Autolitografia", gdzie również i sam artysta komponuje i sam wykonywa na kamieniu.

Za czasów — o których tu mowa — był zalew niemieckich olejodruków, które pokrywały ściany przeciętnego mieszczucha. To też było to już snobizmem i zaszczytem, jeżeli ktoś miał na ścianach obrazy olejne, „rękami malowane", tj. ręcznie, które były nieraz gorsze od dobrych olejodruków, gdyż pseudo-artyści, nie mogąc się zdobyć na własne kompozycje, sami malowali z olejodruków żywcem — nie fatygując się nawet próbować coś zmienić — zwłaszcza martwe natury (winogrona, szkło, owoce itp.) lub kwiaty.

Nie było wówczas tak wspaniałego malarstwa plakatowego, reklamowego, okładek, sztuki stosowanej, kompozycji na meble, dekoracji wnętrz i okien, wystaw sklepowych, liternictwa i wielu innych dziedzin życia, gdzie estetyka już dotarła i wymagania wzrosły.

Sam rozmawiałem z pewnym znanym i cenionym, bogatym przemysłowcem, który pokazywał mi reklamy zagraniczne i mówił z chlubą — jaki to on mądry — bo bierze takie papierki — reklamy, każe artyście rysownikowi to przerobić, skompilować, przysosować do swoich potrzeb i nie płacąc wiele, ma to za bezcen, za co inni płacą sumy. (Teraz Z. A. I. K. S. pilnuje żeby nie było wyzysku artysty). Tak więc wśród tego proletariatu artystycznego nie działo się dobrze i trudno było z tego wybrnąć, bo nie było się gdzie uczyć tj. rzemiosła malarskiego lub rzeźbiarskiego ani kształcić ducha w muzeach.

(Dokończenie na str. 11)

MICHAŁ DERENICZ

FIGLE CZASU

Mam lecieć z Szanghaju do San Francisco. Przy długodystansowych lotach najtrudniejszy jest nie sam przelot, lecz... start. W dzień wyznaczony na odlot, komunikaty meteorologiczne są tak podłe, że nawet nie próbujemy jechać na lotnisko. Następnego dnia pogoda lepsza. O godzinie 5.30 jesteśmy na lotnisku. Komunikują nam, że na razie nie możemy startować. Przyczyna bardzo poważna: okazuje się, że na całym lotnisku nie można znaleźć... śrubokręta. Jakaś tam śrubka rozluźniła się i nie ma czem jej wkręcić. Ze źle wkręconą śrubką można skręcić kark nawet na pięknym Douglasie, jakim mamy lecieć, a śrubokręt jest precyzyjny i trzeba posłać po niego na drugie lotnisko — samochodem conajmniej — godzina drogi.

Obfite śniadanie, podane przez stewardów skraca czas czekania. Wreszcie przyjechał śrubokręt i śruba, ku radości cierpliwie czekających pasażerów (w Chinach nie wypada się niecierpliwić) została wkręcona. Godzina jedenasta. Zasiadamy w arcywygodnych fotelach, gdy nagle... motory cichną, stają... Komunikat z najbliższego punktu postoju: „Lotnisko w Okinawa nie przyjmuje".

Powrót do hoteli — tym razem na koszt linii lotniczej. Nazajutrz pogoda jest i tu i tam, śrubka jest na właściwym miejscu, piloci i pasażerowie są — można więc śmiało i bez zwłoki startować. Po przeszło dwóch godzinach lotu, słynna z walk wyspa Okinawa. Pustkowie. Kilka zwalonych samolotów japońskich grupa jeńców japońskich zatrudnionych na lotnisku.

Po godzinnym postoju odjazd. Pod nami czyste błękitne morze, lub — częściej — olbrzymie morze obłoków w postaci jakby gór z waty o przedziwnych i przeróżnych kształtach. Smaczne posiłki, rozmowy z wielojęzycznymi pasażerami, ciekawe magazyny, ewentualnie drzemka, skracająca 8 godzin lotu na następnym odcinku trasy.

Przed nami — Guam, równie słynny z walk na Pacyfiku. Ta największa wyspa z pośród archipelagu Mariańskiego, jedyna, która należała do Stanów Zjednoczonych wśród morza wysepek mandatowych, które Japonia otrzymała po pierwszej wojnie światowej w spuściźnie po Niemcach, daje pierwszy posmak roślinności podzwrotnikowej.

Po sześciu godzinach lotu — Wake, pusta, skalista wyspa. Ani ludzi, ani roślinności. „Tubylcy" wyspy — to załoga obsługująca samoloty na tym ważnym szlaku lotniczym Pacyfiku — stale około 60 osób plus 10 osób z przelatujących samolotów. Do pomocy Amerykanie sprowadzają tu miesz kańców wysp Guilbera i Guamu. Jeden z amerykańskiej obsługi lotniska opowiada mi z dumą, jak kolorowi robotnicy są tu wspaniale karmieni, ba, nawet coca-colę (amerykańska fabrycz na lemoniada) dostają, i prócz tego aż 10 dolarów miesięcznie. Wczesny świt odsłania przed oczyma umocnienia i podziemia, jakie tu Japończycy pobudowali w czasie okupacji wyspy.

Spokojny lot trwający około 9 godzin, wśród słonecznej pogody, sprowadza nas na Midway. Witają nas tu gromady krzykliwych albatrosów, wygrzewających się na słońcu. Stare brzydkie albatrosy uczą młode pierwszych lotów i innych sztuk akrobatycznych lub toczą ze sobą „boje".

Znów 9 godzin lotu wzdłuż drugiego ramienia równoramiennego trójkąta Wake-Midway-Honolulu. Przylot w nocy nad skrzącym się niezliczonymi światłami Pearl Harbour — tym samym portem, którego zaatakowanie w dniu 7 grudnia 1941 r. spowodowało przystąpienie USA do wojny przeciwko osi — nie pozwala odebrać tych wrażeń, ani wzbudzić tych zachwytów, o jakich mówią wszyscy, którzy mieli szczęście oglądać tę wyspę w dzień.

Cztery godziny postoju — i ostatni odcinek lotu poprzez Pacyfik sprowadza nas po dwunastu godzinach do San Francisko.

Lecieliśmy dzień, noc, dzień, noc i dzień, co według normalnych zasad najprymitywniejszej matematyki powinno w sumie dać trzy dni lotu, a przylecieliśmy do San Francisco... następnego dnia. Wylecieliśmy w poniedziałek, na Wake byliśmy we wtorek, na Midway w poniedziałek, na Honolulu z poniedziałku na wtorek i wreszcie w San Francisko — we wtorek. Nie jedyny i nie pierwszy to figiel czasu. Oto kilka innych.

8-go grudnia 1941 roku japońskie radiostacje nadały wielkiej wagi historyczny komunikat, a mianowicie cesarski reskrypt o wypowiedzeniu wojny Stanom Zjednoczonym, który mieszkańcy usłyszeli tę niesłychanie ważną wiadomość już... 7 grudnia, i mimo to nie zdołano zapobiec atakowi Japończyków na Pearl Harbour.

W toku tejże wojny, w roku 1944, bombowce amerykańskie opuściły swoje bazy 26 czerwca, zbombardowały wyspę Wake 28 czerwca i wróciły do punktu wyjściowego... 27 czerwca. Jaka by to była gratka dla filatelistów, gdyby mieć znaczek ostemplowany da tami naprzód i wstecz?!...

1 września 1945 roku słuchacze radiowi USA z wielką radością przyjęli komunikat o kapitulacji Japonii, na dany z pancernika „Missouri", zakotwiczonego w zatoce Tokijskiej. Ten doniosły fakt wydarzył się jednak 2 września i tak został zakronikowany, czyli, że Amerykanie słyszeli w dniu 1 września głosy, nadane dopiero... nazajutrz.

Niewątpliwie każdy pamięta jeszcze doświadczenia z bombą atomową, dokonane w roku 1946 na atolach Bikini. Jedna z tych bomb wybuchła 1 lipca, a w Stanach słyszano ją już 30 czerwca...

A czy pamiętacie fascynujące przygody bohatera książki Jules Verne'a, „Podróż naokoło świata w 80 dni", Filipa Fogga i jego służącego Passepartout?

Otóż, 2 października 1872 roku, w wieczór środowy, w „Klubie Reform" w Londynie, stanął zakład następujący. Filip Fegg założył się o 20 tys. funtów szterlingów z kilkoma członkami tego klubu, że dokona podróży naokoło świata w 80 dni, czyli w 1920 godzin, licząc od godziny 8.45 tegoż wieczora.

Tak więc Filip Fogg miał stawić się w Klubie w sobotę 21 grudnia o tejże 8 godzinie 45 minut.

Trasa podróży prowadziła z Londynu przez Suez - Bombay - Kalkutę - Hongkong - Jokohamę - San Francisco - New York — z powrotem do Londynu. Niezwykłe przygody, znane zapewne wszystkim miłośnikom Jules Verne'a, znaczyły drogę Filipa Fogga i jego wiernego służącego Passepartout. Filip Fogg był już u kresu swej podróży, na ziemi angielskiej, kiedy na skutek nieszczęśliwego nieporozumienia, które go prześladowało od początku podróży, osadzono go w areszcie w Liverpoolu, właśnie w dniu, który miał być dniem jego powrotu do Londynu tj. 21 grudnia.

Nieporozumienie zostało wreszcie wyjaśnione, Fogg popedził z Liverpoolu do Londynu, ale — niestety — przybył do kresu swej podróży z pięciominutowym opóźnieniem. Foggowi groziła ruina finansowa, bo mało tego, że na podróż wydał prawie tyle, ile wynosiła suma zakładu, ale musiał ponadto wypłacić przegrany zakład.

Jedynym pocieszeniem w tej ostatecznej desperacji było uczucie miłości, jakim zapłonął Fogg w czasie podróży do wyratowanej ze stosu buchających płomieni Hinduski w czasie przejazdu przez Indie. Ta piękna młoda kobieta miała zginąć na stosie — zgodnie z obyczajami miejscowymi, na którym palono zwłoki jej męża.

Tę to piękną Hinduskę postanowił Fogg poślubić i ślub miał się odbyć w dwa dni po przybyciu. W niedzielę, czyli nazajutrz po przybyciu — Passepartout udał się do pastora, aby go uprzedzić o mającym się odbyć nazajutrz ślubie. Była godzina 8.05, kiedy Passepartout opuszczał dom. O 8.35 wychodził od pastora. Biegł przelatując jak trąba powietrzna po trotuarze. W trzy minuty był w willi pana Fogga.

— Co się stało? — spytał pan Fogg.

— Mój panie... — bełkotał Passepartout — ślub... niemożliwy!

— Niemożliwy?

— Niemożliwy na jutro.

— Dlaczego?

— Bo jutro niedziela!

— Poniedziałek — zaoponował Fogg.

— Nie... dziś jest sobota.

— Sobota! Niepodobna!

— Tak! Tak! Krzyczał Passepartout. Omylił się pan o jeden dzień, przybyliśmy o 48 godzin za wcześnie, ale zostaje już tylko 10 minut!

Zegar wskazywał 8.45 kiedy Fogg ukazał się w salonach Klubu. Filip Fogg wygrał więc zakład o 20 tys. funtów szterlingów.

Jak to się stało! Jak mógł popełnić omyłkę co do dnia! Więc co? Rozwiązaniem zagadki Filipa Fogga i tych innych tajemniczych na pozór wypadków jest fakt, że czas musi mieć gdzieś, w jakimś punkcie, czy na jakiejś linii początek, że dzień musi się gdzieś zaczynać.

Otóż w roku 1884 ustalono na specjalnej konferencji w Waszyngtonie, że tym początkowym punktem, a właściwie linią będzie 180 południk, na połowie koła świata od południka Greenwich. Dlaczego wybrano 180 południk, a nie Greenwich? Po prostu jedynie ze względu na to, że południk Greenwich przechodzi zbyt zagęszczone tereny i mogłoby się np. zdarzyć tak, że na jednej ulicy jakiegoś miasta czy wsi byłaby niedziela, gdy jeszcze sobota byłaby na drugiej.

Jak bardzo niewłaściwe byłoby wyznaczenie linii dat wpoprzek zamieszkałych terenów, niechaj świadczy wypadek jaki się zdarzył w roku 1884, kiedy linia ta została wytyczona. Przechodziła ona wtedy przez pewną plantację trzciny cukrowej na Fidżi, uprawianą przez niewolników. Plantator chcąc jak najbardziej wykorzystać pracę swych najemników, wpadł na pomysł i obmyślił się do następującego tricku: w sobotę zapędzał swych niewolników na wschód od Linni Dat, przechodzących przez jego plantację, a następnego dnia, kiedy po tejże stronie była normalnie niedziela, przerzucał robotników na Zachód od Linii Dat, gdzie się już zaczynał poniedziałek. W ten sposób niedziela — dzień odpoczynku — przepadała dla robotników.

Misjonarze chrześcijańscy, którzy bawili na wyspach wnieśli skargę do Komisji Międzynarodowej Południka i... Linia Dat odtąd omija wyspy Fidżi.

Idąc od północy ku południkowi, Linia Dat omija po stronie zachodniej wyspę Wrangla, potem spada pomiędzy skrajnym cyplem Syberii (przylądek Diesniewa) a Alaską (przylądek księcia Walii) w cieśninie Beringa, następnie skręca łukiem na zachód, pozostawiając wyspy Aleuckie całkowicie po stronie wschodniej, dalej wraca do swego 190 południka i idzie wzdłuż niego aż do wysokości wyspy Ellice, mając po lewej stronie wyspę Wake, wyspy Guilberta, po prawej — wyspę Midway, wyspy Feniks, Mod, wyspy Ellis skręca na prawo, pozostawiając po lewej stronie wyspy Fidżi, Suva, wyspy Tonga, wreszcie Nową Zelandię, z wyspami Canton i Samoa — po prawej stronie, dochodzi do wyspy Chatham (należącej do Nowej Zelandii) i skręca na lewo w dół do swego południka. Wyznaczona w ten sposób trasa Linii Dat nie przechodzi przez żaden ląd ani wyspy, dzięki czemu nie wprowadza zamieszania w datowaniu kalendarza na tym samym terenie.

Tak więc Linia Dat ma podwójne oblicze: jedno zwrócone na wschód, drugie — na zachód. Kto przecina ją w kierunku zachodnim traci dzień, podczas gdy kierując się na wschód zyskuje jeden dzień.

Dzieje się to dlatego, że w drodze na zachód jesteśmy ze słońcem z każdym dniem dłużej, ma się dnia więcej. W podróży naokoło świata na każde 15 stopni długości geograficznej powstaje jedna godzina dodatkowa dnia, (co daje w rezultacie dodatkowy dzień) ($24 \times 15 = 360$ czyli raz dookoła globu). Jeżeli więc na Linii Dat nie „potrąci się" jednego dnia (tj. nie przeskoczy się kalendarza o 24 godziny naprzód), przybywa się do miejsca startu o jeden dzień później (np. przybywa się do miejsca startu według miejscowego kalendarza w niedzielę, gdy według obliczeń jest dopiero sobota), gdyż na miejscu był stale 24-godzinny dzień, a w drodze naokoło świata — co 15 stopni — 25-godzinny.

Przy kierunku na wschód dzień jest krótszy o godzinę co 15 stopni i trzeba na Lini Dat odjąć dzień lub obserwować ten sam dzień dwukrotnie, żeby była zgodność z kalendarzem na miejscu startu. Gdy więc przybywamy na miejsce startu na zachód od Linii Dat — posuwając się na wschód — w niedzielę według miejscowego kalendarza, według obliczeń powinien być już poniedziałek, czyli zyskuje się jeden dzień.

W tych to zmianach, zależnie od kierunku posuwania się na wschód czy na zachód od Linii Dat, kryją się te wszystkie figle czasu wyżej wspomniane. Stąd podróż przez Pacyfik z Szanghaju do San Francisco w czasie trwa trzy dni, a według kalendarza tylko dwa dni, dlatego słuchacze radiowi Ameryki słyszą... o dzień wcześniej komunikaty z drugiej strony Linii Dat, dlatego wreszcie Filip Fogg mógł wygrać swój zakład, bo w Londynie w czasie jego podróży godziny nie zmieniały się, gdy on, kierując się na wschód, przybył o dzień wcześniej, niż obliczał według istotnego czasu trwania podróży. Na Linii Dat kryje się jeszcze jedna niespodzianka: przekraczając ją z zachodu na wschód zuskuje się jeden dzień, czyli kto w ten sposób podróżuje, staje się o jeden dzień młodszy! Sposób na „odmłodzenie" niezawodny i o wiele przyjemniejszy niż wszelkie inne metody.

WALERY PRZYBOROWSKI

AKCJA GRESSER

Wykonano dnia 20.4.1944 r.

W parę miesięcy po wykonaniu zamachu na Kuczerę wykonano wyrok na pułkowniku Gresserze, szefie żandarmerii na m. Warszawę i Distrykt Warszawski. Skazanie Gressera nastąpiło na skutek urządzania przez niego masowych łapanek, wywożenia do obczów i znęcania się nad schwytanymi Polakami.

Wykonanie wyroku powierzono Batalionowi Wielkiej Dywizji A. K. „Parasol". Zamach poprzedziło dokładne rozpoznanie, przeprowadzone przez oddział wywiadu „Rajski". Wywiad ustalił, że Gresser zamieszkuje w dzielnicy niemieckiej przy ul. Chocimskiej 2/4. Codziennie w godzinach 8.50 — 9.10 wyjeżdżał z domu samochodem, który oczekiwał na niego przed bramą. Wóz przejeżdżał Chocimską i Placem Unii do Alei Szucha. Gresser przeważnie siedział na przednim siedzeniu po prawej stronie szofera, trzymając na kolanach M. pi 40. Do samochodu wsiadał zwykle w 3 do 4 minut po podejściu wozu. Wywiad ustalił również, iż w godzinach rannych na ul. Chocimskiej ruch jest niewielki, przyczym wśród przechodniów przeważali Niemcy cywilni i wojskowi.

Po ustaleniu tych danych przez grupę wywiadowczą „Rajski", dowództwo batalionu zdecydowało, że zamach będzie wykonany na ul. Chocimskiej, w pobliżu Placu Unii Lubelskiej, w chwili, gdy samochód wiozący Gressera będzie znajdował się w pobliżu ul. Słonecznej.

Do akcji wyznaczono następujących ludzi z 3 plutonu baonu „Parasol": dowódca akcji pchr. „Mirski", zastępca pchr. „Kopeć", ubezpieczenie podch. „Bolec", „Garbaty" i „Góral", szofer kpr. „Kajtek", na wozie „Opel Capitan" i strzelec pdchr. „Pajączek", łączniczki „Maja" i „Dewajtis".

Uzbrojenie oddziału było następujące: 5 M. Pi — 40. 3 Steny, 5 Parabellum 9, 1 Vis 9 i 1 Colt 11,4.

Plan akcji

Plan akcji był następujący. „Mirski" i „Kopeć" oczekują ukryci w bramie jednego z domów w pobliżu Państwowego Instytutu Higieny, na sygnał dany przez łączniczkę „Maję" utrzymującą łączność wzrokową z „Dewajtis", obserwującą bezpośrednio bramę domu Gressera. Po sygnale, którym było zawiązywanie przez „Maję" sznurowadła u trzewika, wybiegają na jezdnię, ostrzeliwując samochód. Po zabiciu Gressera mieli mu odebrać wszystkie dokumenty. Akcja ubezpieczona była przez „Bolca", znajdującego się po przeciwnej stronie ul. Chocimskiej i mającego za zadanie w razie potrzeby ostrzeliwania okien sąsiednich domów. Od strony ul. Słonecznej ubezpieczał „Garbaty", zaś od strony Puławskiej, na rogu Olesińskiej — „Góral", pdch. „Pajączek" zajął stanowisko przy przejeździe kolejki na ul. Belwederskiej. Zadaniem jego było podniesienie szlabanu w wypadku, gdyby on był opuszczony w chwili, gdy nadjedzie samochód, wiozący wycofujących się uczestników akcji.

Wykonanie

Zbiórka uczestników odbyła się w dniu 20 kwietnia o godz. 7.30 w lokalu przy ul. Słonecznej, w mieszkaniu insruktora konspiracyjnej szkoły podchorążych, „Agricola" sp. pch. inż. „Szprotki". O godz. 8.40 wyruszono z bronią, dostarczoną przez łączniczki na wyznaczone punkty. Po przybyciu na miejsce okazało się iż jest jeszcze dość wcześnie, aby więc nie zwracać na siebie uwagi, wszyscy z wyjątkiem łączniczek udali się na znajdujący się, na ulicy Chocimskiej bazar. O godzinie 8.50 podjechał Oplem „Kajtek", zatrzymując się na rogu Słonecznej i Chocimskiej. O godz. 8.51 łączniczki dają znać, że zajechał wóz Gressera. Uczestnicy akcji zajmują szybko swoje miejsca. Stosownie do planu „Mirski" i „Kopeć" ukrywają się w jednej z bram, trzymając pod płaszczami przygotowane do strzału pistolety maszynowe. „Bolec" przechadza się spokojnie po drugiej stronie ulicy, zaś „Góral" i „Garbaty" stoją na wyznaczonych sobie rogach.

Przed bramą Chocimska 2/4 wolno spaceruje młoda, niepozorna uczennica z warkoczykami i dużą teczką pod pachą. To „Dewajtis" jedna z najodważniejszych, mimo że liczy lat 15, łączniczek batalionu. Po przeciwnej stronie ulicy, w pobliżu bramy, gdzie ukryci są „Mirski" i „Kopeć" stoi „Maja".

Godz. 8.58 „Dewajtis", stojąca przed bramą pochyla się i zawiązuje sznurowadło u trzewika, poczym szybko przechodzi na drugą stronę jezdni. Jest to znak, że Gresser wsiadł do wozu. Sygnał „Dewajtis" powtarza „Maja". „Mirski" i „Kopeć" rozpinają płaszcze odbezpieczają wyjętą broń. To samo robi „Bolec". Gdy samochód Gressera znajduje się w odległości ok. 25 m. od bramy, gdzie są ukryci „Mirski" i „Kopeć", wybiegają obaj na jezdnię i w biegu rozpoczynają krótkimi seriami ostrzeliwać wóz. Szofer w pierwszym momencie zaskoczenia zwalnia, poczym nagle gwałtownie dodaje gazu, pragnąc przedostać się na Plac Unii. Manewr ten jednak zauważył „Kajtek" i wozem swym zagradza jezdnię w poprzek. W tym momencie „Mirskiemu" zacina się pistolet. Usiłuje usunąć zacięcie, co mu się jednak nie udaje. Przez ten czas ogień prowadzą „Kopeć" i „Bolec". Oba wozy zderzają się, zarzymując się na jezdni. Korzysta z tego „Kopeć" podbiega do wozu Gressera, otwiera drzwiczki i oddaje do siedzącego w głębi Niemca 5 strzałów z Colta. Następnie rewiduje trupa, dotkliwie kalecząc się przy tym w rękę kawałkami rozbitych szyb. Usiłowania jednak są daremne. Papierów nie znajduje. Zabiera więc tylko M. Pi i wszyscy trzej wskakują do „Opla". Na chwilę zatrzymują się jeszcze przy ul. Słonecznej, gdzie zabierają „Górala" i „Garbatego", który nadbiegł od strony ul. Olszewskiej.

Z okien okolicznych domów padają pojedyńcze strzały pistoletowe. Pociski z gwizdem i trzaskiem ryją się w ścianach sasiednich domów, odbijają się od bruku. Jeden z nich trafia w oponę. Syk uchodzącego powietrza i wóz trzęsąc się rusza Słoneczną w dół. Dojeżdża do Belwederskiej. Tu moment emocji. Nawprost nich zjawia się odkryty wóz z trzema lotnikami uzbrojonymi w broń maszynową. Chłopcy przygotowani są do natychmiastowego rozpoczęcia ognia, jednak lotnicy mijają ich spokojnie, badawczo tylko patrząc na jadących. Czy nie zorientowali się w sytuacji, czy też może nie chcieli rozpoczynać walki, pozostało do dziś dnia niewyjaśnioną tajemnicą.

Przy przejeździe na Belwederskiej, zabierają oczekującego tu „Pajączka" poczym skręcając w Stępińską, a z niej w Chełmską. Dojeżdżając do Czerniakowskiej gubią przestrzeloną oponę, a po dalszych 300 metrach jazdy wóz gwałtownie się przechyla, z łoskotem jadąc dalej. To spadło koło. Ale na szczęście mają już niedaleko. Na rogu Mącznej i Czerniakowskiej znajduje się punkt sanitarny, gdzie dyżuruje naczelny lekarz batalionu. „dr. Maks". Pośpiesznie zakłada opatrunek „Kopciowi", poczym wszyscy uczestnicy akcji, pozostawiwszy rozbity wóz na ulicy, pojedyńczo udają się do jednego z lokali konspiracyjnych, mieszczącego się w domu, zajmowanym przez Niemców przy ul. Wilanowskiej 20 m. 22.

Tak wykonany został zamach na jednego z katów ludności warszawskiej płk. Gressera.

POZNAJMY NASZYCH ARTYSTÓW



ELŻBIETA WIECZORKOWSKA

Publiczność warszawska zobaczyła po raz pierwszy Elżbietę Wieczorkowską w r. 1945, na scenie Teatrów Miejskich, w chwili ich otwarcia w stolicy. Ale artystka ma już za sobą bogatą przeszłość teatralną. Kilka lat przed wojną, po ukończeniu szkoły dramatycznej Wandy Siemaszkowej— debiutowała we Lwowie, a później występowała w teatrach Poznania, Bydgoszczy i Wilna.

Okres okupacji przebyła Wieczorkowska w stolicy występując w charakterze kelnerki w „Gospodzie Włóczęgów".

Wśród wielu ról, które kreowała w czasie swej kariery scenicznej — wymienić przede wszystkim należy: macochę w „Pomocnicy domowej", gospodynię w „Weselu", młynarkę w „Zaczarowanym kole" i Agafię w „Ożenku".

Obecnie występuje w teatrze Miniatury, w cieszącej się olbrzymim powodzeniem komedii „Mąż i Żona" Fredry — jako Żona.

POECI I PISARZE W ANEGDOCIE



ALEKSANDER DUMAS I KOMORNICY

Ktoś zwrócił się do Aleksandra Dumasa, żeby dał 25 franków na pochowanie komornika zmarłego w nędzy. Dumas podszedł do biurka, wyjął większą sumę i dał ją petentowi, mówiąc:

— Żeby pochować komornika? Proszę sto dukatów. Więcej nie mam. Pochowajcie ich ze dwunastu.

KRONIKA KULTURALNA

QUIDAM w „Kronice tygodniowej" „Nowin Literackich" i Jasienica w „Tygodniku Powszechnym", jednocześnie, jakby się zmówili, powstają przeciw masowym zmianom nazw ulic warszawskich, które to zmiany uchwaliła Miejska Rada Narodowa m. Warszawy. Zmowa ich pochodzi stąd (prawdopodobnie przyłączyłby się do niej Jerzy Borejsza jako autor „Rogatek kultury"), że obydwaj, jako ludzie kulturalni, zdają sobie sprawę z tego, że „każdy zaułek warszawski, każdy tamtejszy kamień w bruku ma swoją historię", jak pisze Jasienica; że „nie wszystko należy zmieniać, nie wolno zamazywać przeszłości", jak wtóruje Jasienicy Quidam. Oczywista, nie ma sensu zmieniać Kruczej na Dubois, Wroniej na Niedziałkowskiego, Oleadrów na Barlickiego, Smolnej na Sempłowskiej, Złotej na Bartoszka itd. Dotychczasowe nazwy, jak sprawiedliwie wywodzą cytowani publicyści, to żywa historia Warszawy; żyją one w naszej wyobraźni, utrwaliły się w poezji, w literaturze. Nieaprobowane zaś przez lud miejski nowe imiona ulic pozostają martwe, nie wrastają w świadomość. Mimo to, można i należy uczcić Niedziałkowskich, Dubois, Barlickich i innych. W jaki sposób? „Przebijamy nowe ulice i tworzymy nowe place — pisze Quidam: — oznaczajmy je nowymi imionami ludzi zasłużonych". Wywody publicystów są jasne, proste i logiczne; ponadto są wyrazem opinii publicznej, rzeczywistym „głosem ludu". Ale w życiu naszym często się dzieje, jak w tym przysłowiu: dziad swoje, baba swoje. W danym wypadku dziad — to Quidam, baba — to Rada Miejska.

KLASYCZNĄ w swej tradycjonalnej kulturze słowa kaznodziejskiego mowę Piusa XII, wygłoszoną na Papieskiej Akademii Nauk, drukuje „Tygodnik Powszechny" (nr 10 155). Takim stylem umieją przemawiać ci, którzy mają za sobą tysiącletnie tradycje — od czasów Janów Złotoustych. Ale jesteśmy przekonani, że Pius XII, w swym tekście łacińskim czy włoskim, nie użył z pewnością takich zwrotów, jak „osiągnięcia" lub „wydźwięk". W tekście polskim „Tygodnika" czytamy: „najwspanialszym przykładem osiągnięć tej intensywnej pracy..." albo: „słowa Newtona mają dziś wydźwięk prawdy". Papież mógł powiedzieć: „najwspanialszym przykładem zdobyczy tej wytężonej pracy..." „słowa Newtona mają dziś brzmienie prawdy..."

Nie twierdzimy, jak wielu zaciekłych purystów, że słowa „osiągnięcie" i „wydźwięk" są ohydnymi barbaryzmami; przeciwnie, mają one swoje miejsce w języku współczesnym, który musi szukać nowych określeń na nowe fakty i pojęcia; są to jednak słowa nadto potoczne, na to jeszcze gazeciarskie, aby się mogły znaleźć w tej, pełnej górnego patosu i wysokiej powagi mowie, jaką wygłosił Papież cytując wciąż św. Augustyna i innych doktorów Kościoła. Zawinił oczywista tłumacz polski tej mowy papieskiej. A ksiądz Piwowarczyk, zajęty, jak widać z tegoż numeru „Tygodnika", Manifestem Komunistycznym Marksa, nie zrobił korekty mowy papieskiej.

ST. ŁATKA

NA MARGINESIE UCHWAŁ II KONGRESU ZZK

Zagadnienie powstawania, drobnych spółdzielni w oddalonych od większych centrów-ośrodkach występuje szczególniej, wśród kolejarzy, rozrzuconych po całym obszarze Polski. Kolejarze mają wprawdzie dość liczne i dobrze prosperujące spółdzielnie eksterytorialne, a więc: powstałą w roku 1922 Krajową Spółdzielnię Spożywców Kolejarzy, z siedzibą centrali w Warszawie i obwodami w Warszawie, Lublinie, Radomiu, Skarżysku, Kielcach, Chełmie, Siedlcach, Karsznicach, Gdyni, Zamościu i Łodzi, następnie dobrze prosperującą spółdzielnię w Katowicach, dalej w Krakowie, Nowym Sączu, Mielcu, Toruniu, Bydgoszczy, Gdańsku, Wrocławiu, lecz chodzi nam tutaj o małe ośrodki pozwalające na bliższe zetknięcie się członka ze sprawami spółdzielni, a które mogłyby powstać w skupiskach, grupujących większą liczbę rodzin kolejarskich. Skromne na ogół uposażenie kolejarza znalazłoby pomoc w spółdzielczości, co wpłynęłoby dodatnio na budżety domowe. Wniknięcie w potrzeby i rozwój swej placówki, dałoby pole do wyżycia się społecznego. A wyrobienie społeczne członków jest w prostym stosunku do rozwoju spółdzielni, a co za tym idzie i do korzyści, jakie spółdzielnia przynosi członkom. Członkowie powinni brać czynny udział w zebraniach spółdzielni, w pracach komitetów sklepowych, interesować się życiem spółdzielni, stosunkiem jej do pracowników, jej stanem finansowym, sprawą wpłacania udziałów, wartością sprowadzanych towarów, stosunkiem pracowników do kupujących itp.

Pozostaje ponadto druga dziedzina działalności spółdzielni. To potrzeby szerokich rzesz kolejarskich na odcinku kulturalnym...

Nieraz słyszy się narzekania, iż życie prowincji jest szare, pozbawione urozmaicenia, wyżycia się społecznego. Spółdzielczość daje możność działania w tej dziedzinie. Różne imprezy, związane z uroczystościami spółdzielczymi, świetlice, koncerty, przedstawienia amatorskie i wiele innych, interesujących spraw same narzucą się członkoni i rozbudzą życie kulturalne w danym ośrodku. A nie zapominajmy, że kolejarze — to armia 350-tysięczna pracowników, którzy na polu kolejarskim oddali duże usługi Polsce Ludowej i wykazywali się pracą i niezwykłą pomysłowością przy odbudowie zniszczonego wojną kolejnictwa. Taki materiał ludzki należy jak najliczniej pozyskać dla spółdzielczości. Będzie to istotnym sukcesem dla sprawy.

Wagę tych spraw podjął ostatni Kongres Związku Kolejarzy, który w uchwałach swych zobowiązał Zarząd Główny ZZK do utworzenia przy wszystkich Kołach i Okręgach ZZK aktywnych referatów spółdzielczych, w celu prowadzenia akcji planowania i organizowania sieci nowych placówek spółdzielczości kolejarskiej i akcji uświadomienia spółdzielczego szerokich rzesz członków ZZK i ich rodzin. W tym celu zobowiązuje Koła ZZK do zorganizowania w bieżącym roku przy każdym z Kół lub w zasięgu jego działania przynajmniej po jednej Spółdzielni Spożywców Kolejarzy.

Zjazd zaapelował również do zainteresowanych czynników państwowych, komunalnych i spółdzielczych o opiekę i o udzielenie kolejarskiemu ruchowi spółdzielczemu pełnych warunków pracy i dalszego rozwoju.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

W dzisiejszym naszym kąciku zajmiemy się nieco zagadnieniem: „Sport a znaczek pocztowy". Asumpt do tego dała nam wiadomość, że jakoby Komisja Organizacyjna Biegu Kolarskiego Warszawa — Praga — Warszawa, który odbędzie się między 1 a 9 maja br., uzgodniła z Ministerstwem Poczt i Telegrafów sprawę wydania specjalnego znaczka pocztowego z okazji tych zawodów. Pamiętamy jeszcze dobrze, że zarówno rok temu dużo mówiło się o wydaniu w Polsce znaczków olimpijskich. Były też podobno obietnice, ale nic z tego nie wyszło. Może więc i tym razem skończy się tym samym. W każdym bądź razie, póki jeszcze czas, chcemy dorzucić do tego zagadnienia kilka uwag.

Nie mamy jakoś u nas szczęścia do nowych wydań. W naszej polityce wydawniczej dotąd nie widać żadnej linii. Każdy nowy znaczek to tylko kwestia przypadku. Nie mamy np. żadnych stałych corocznych wydań, na które czekaliby filateliści, niczym nie potrafimy przyciągnąć zainteresowania zagranicy.

Jak ciekawym motywem dla znaczków pocztowych może być sport, świadczą o tym: cztery szwajcarskie znaczki olimpijskie reprodukowane obok jeden austriacki (także wydany z okazji tegorocznej Olimpiady) i cztery bułgarskie dla uczczenia Gier Bałkańskich, z których jeden przedstawia właśnie kolarzy.

W Polsce od roku 1944 ukazał się tylko jeden znaczek sportowy i to właściwie nie sportowy ale pseudosportowy. Myślę o zeszłorocznym znaczku-przedruku z okazji XXII mistrzostw narciarskich Polski. Dlaczego on się właściwie ukazał, skoro nie wydaliśmy żadnego znaczka dla dwudziestu jeden poprzednich mistrzostw i nie wydajemy dla dwudziestych trzecich — nie wiadomo.

Obawiam się, że i obecnie projektowany znaczek podzieli los swego poprzednika. A przecież, jeśli już koniecznie mamy wydawać znaczki sportowe i to kolarskie, mamy coroczną imprezę „Tour de Pologne" — najlepszą okazję dla takiego wydania.

Na marginesie chciałem jeszcze dodać, że przeprowadzony przez czeskie ministerstwo poczt plebiscyt wykazał, że filateliści nie chcą widzieć wydań o mniejszej ilości znaczków niż dwa — trzy. Niestety, u nas z opinią zbieraczów nikt się nie liczy. A jednak znaczki okolicznościowe są wypuszczane wyłącznie tylko dla filatelistów. Cóż z tego, kiedy podobno nos dla tabakiery...

Witold J. Orłowski

URYWKI WSPOMNIEŃ

(Ciąg dalszy ze str. 8).

Rzeźbiarze pracowali przeważnie u kamieniarzy, którzy wykonywali rozmaite pomniki, nagrobki, mniej lub więcej skomplikowane groby na Powązki — a i z tych wyszli też niektórzy dobrzy rzeźbiarze jak Jan Biernacki, który pracował u Olesińskiego, Kurzawa, Szczygielski, Wachulski, Gacewicz i inni. Takich zakładów gdzie wykonywało się figuralne pomniki też wiele nie było, bo pamiętam tylko Pyrowicza, Syrewicza, wyżej wspomnianego Olesińskiego, a potym Franciszka Ratka i Rudnickiego.

Było nas aspirantów do sztuki — nie wielu i znaliśmy się prawie wszyscy osobiście, bo czy to malarze, czy rzeźbiarze, przechodziliśmy przez Szkołę Rysunkową — tak zwaną „Ochronkę" radziliśmy więc sobie — jak to wspomniałem wyżej — jak można było. Ja, rysując najętego poza szkołą na swój rachunek modela, ale i tych zawodowych modeli nie było wiele. Więcej znani i popularni byli: Gotaliński, były powstaniec, emigrant z Francji w 1870 roku, świadek paryskiej Komuny, Kozelowski, półinteligent, filut i łgarz, który nam podczas pozowania rozmaite zmysłowe przeżycia opowiadał, Zalewski — posłaniec publiczny — poczciwina, sumienny i punktualny i inni.

Odpowiedzi Redakcji

P.W. Zubrzycki w Ustce. Owszem interesują nas zdjęcia morskie. Nadesłany do „Sklerozy" wycinek z „Kuriera Morskiego" wykorzystaliśmy już w dzisiejszej „Sklerozie" omawiając analogiczny wycinek „Słowa Pomorskiego", którego mutacją jest „Kurier Morski".

P. Ryszard Eichelkraut w Ostrowi Mazowieckiej. Adresy sprostowaliśmy, powinna nastąpić poprawa w wysyłce pisma. Chętnie przejdziemy na prenumeratę zbiorową dla pozyskanych przez pana prenumeratorów, prosimy tylko o wskazanie adresu, pod którym mamy wysyłać egzemplarze. List przeczytaliśmy uważnie do końca. Nie należy zrażać się chwilowym niepowodzeniem.

Grono czytelników z Rzeszowa. Argumenty Wasze odnośnie notatki w „Sklerozie" pt.: „Czy warto było uczyć się" nie trafiają do przekonania. Zagadnienie to omówimy przy okazji obszerniej w artykule naukowym.

P. Henryk Majewski i P. Zdzisław Teresiński w. Baronia p-ta Józefów nad Wisłą, pow. Puławy. Książki wkrótce wyślemy.

P. Leszek Małański, Łódź, ul. 11 Listopada 21. Nadesłaną eliminatkę wykorzystamy w numerze świątecznym.

P.M. Świechowski — Przedmieście Bliższe. Zgadzamy się i prosimy nadesłać pisma rozrywkowe.

P. Ludwik Rzepkiewicz w Katowicach ul. Francuska 19-11. Nadesłany przez pana artykuł otrzymaliśmy i przy okazji wykorzystamy go. Należy on jednak do rzędu „nie psujących się". W pierwszym rzędzie zamieszczamy te, które po pewnym czasie mogą stracić na aktualności. Nadesłany materiał do „Sklerozy" — wykorzystamy. Brak miejsca nie pozwala nam na obszerniejsze odpowiedzi na różnego rodzaju zapytania i niesłuszjest przypuszczenie Pana, że lekceważymy sobie naszych miłych Czytelników, przeciwnie staramy się w miarę możności, aby kontakt między Redakcją a Czytelnikami był jak najściślejszy i wszelkie uwagi dotyczące tego zbliżenia jak i projekty urozmaicenia materiału zamieszczanego w „Tygodniu" będą życzliwie przez nas przyjęte. Prosimy o listy nie tylko pochlebne, ale przede wszystkim krytyczne, bo te ostatnie mogą przyczynić się do poprawy pisma.

P. Tadeusz Dobrowolski w Białymstoku, ul. Zaslawska 1. Fotografie nadesłane na konkurs „Najmilsze dziecko „Tygodnia" powinny pochodzić z ostatnich czasów, o ile ktoś z czytelników zastrzega sobie ich zwrot, winien to zaznaczyć w liście przy zgłoszeniu kuponu i nadesłać znaczek pocztowy na odpowiedź. Nadesłany materiał do „Sklerozy" wykorzystamy.

P. Józef Ujejski w Poznaniu. O ile artykuł będzie napisany żywo, popularnie, raczej reportażowo, ciekawie, to chętnie przyjmiemy, jeżeli zaś ujęty naukowo, to raczej radzimy przesłać go do dwutygodnika „Społem" Warszawa, ul. Kopernika 30.

P.H.J. Below Łosice, pow. siedlecki. Fotografie dzieci nadesłane na konkurs mogą być zwrócone, po uprzednim zastrzeżeniu ich zwrotu przy nadesłaniu kuponu i załączeniu znaczków pocztowych na zwrot. Wspomniany maszynopis i zdjęcia prosimy przysłać, o ile będzie nam odpowiadał, to zamieścimy. Nagólł rękopisów nie zwracamy, ale w wyjątkowych wypadkach czynimy to.

P. dr Stefan Łąski w Tuszynku koło Łodzi. Żądane numery przesłaliśmy. Odbitki fotograficzne zamieszczone przy reportażu z Sanatorium otrzymać Pan dr może w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie, ul. Czerniakowska 231. Referat Prasowy, skąd nam je nadesłano.

Kroki Rozwodowe

Perypetie rozwodowe Jasia Niebudka mogą się wydać powierzchownemu obserwatorowi błahe i warte śmiechu. Ale jeśliby wejrzeć głębiej, proszę was, w tę historię, jeśliby zajrzeć, że tak powiem Jasiowi do serca, wówczas najbardziej zakamieniały cynik i kpiarz, zimny — jak to się mówi — drań rozczuliłby się na widok sprzecznych uczuć miłości i nienawiści, odwagi i lęku, okrucieństwa i litości, jakie miotały biednym sercem Jasia.

Głównym katalizatorem uczuć Jasia była oczywiście, pierwsza żona, Jadwiga Niebudkowa z domu Kłopotowska, ta właśnie, która nie chciała zgodzić się na rozwód. Ale cóż to jest katalizator?... Zajrzyjmy do Słownika Ilustrowanego Michała Arcta. Czytamy tam (wstawki w nawiasach moje, uw. aut.): „Katalityczne ciało (Kłopotowska) albo Katalizator w dawnej chemii: ciało (Kłopotowska), którego sama obecność w mieszaninie (rozwodowej) miała powodować tworzenie się związków chemicznych (uczuć), mimo że ciało to (Kłopotowska) nie ulegało przy tym żadnym zmianom chemicznym (uczuciowym)".

Otóż jeśli chodzi o wyrażenie zgody na rozwód, to Kłopotowska istotnie przez pewien czas nie ulegała żadnym zmianom, była niewzruszona.

Ale zamiast przedstawiać tę dzielną skądinąd kobietę z punktu widzenia Jasia, lepiej zrobimy, jeśli spojrzymy na nią oczami jej adwokata, Michała Orskiego, do którego katalizator względnie ciało zwróciło się o pomoc w sprawie rozwodowej.

Było to w czerwcu 1946 roku w sobotę około godziny piątej po południu. Mecenas wypoczywał po obiedzie na tapczanie w sypialnym i głowił się, gdzie spędzić sobotni wieczór. Żona bawiła w Zakopanem; przyjaciółka tym razem wyjątkowo z własnym mężem, wybierała się na operetkę; partia bridża rozleciała się z powodu wyjazdu czwartego do Jeleniej Góry.

Mecenas ziewnął.

W uchylonych drzwiach ukazała się rozkudłana głowa pracownicy domowej.

— Co tam, Helciu?

— Klientka, proszę pana.

Mecenas kiwnięciem palca przywołał bliżej swoją pracownicę domową. — Młoda? Ładna? — zapytał schrypłym szeptem.

— Niczego sobie — odrzekła Helcia obojętnie.

Przepędził ją machnięciem ręki i wstał. Zdjąwszy bonżurkę rozłożył ramiona i z przyjemnością, graniczącą z bólem, przeciągał się z sennego rozleniwienia tak, że zatrzeszczało w stawach. Potem skropił się amerykańską wodą Mennem Skin Bracer, którą mu przysłała druga przyjaciółka z zagranicy, włożył marynarkę i, odświeżony i pachnący, wyszedł do poczekalni.

Niemile zdziwiony zatrzymał się na progu. Nadzieja zadzierzgnięcia interesującej znajomości rozwiała się jak wietrzejący szybko zapach amerykańskiej wody Mennen Skin Bracer. W fotelu rozpierało się babsko z parasolką i patrzyło nań czarnymi oczami krytycznie i surowo.

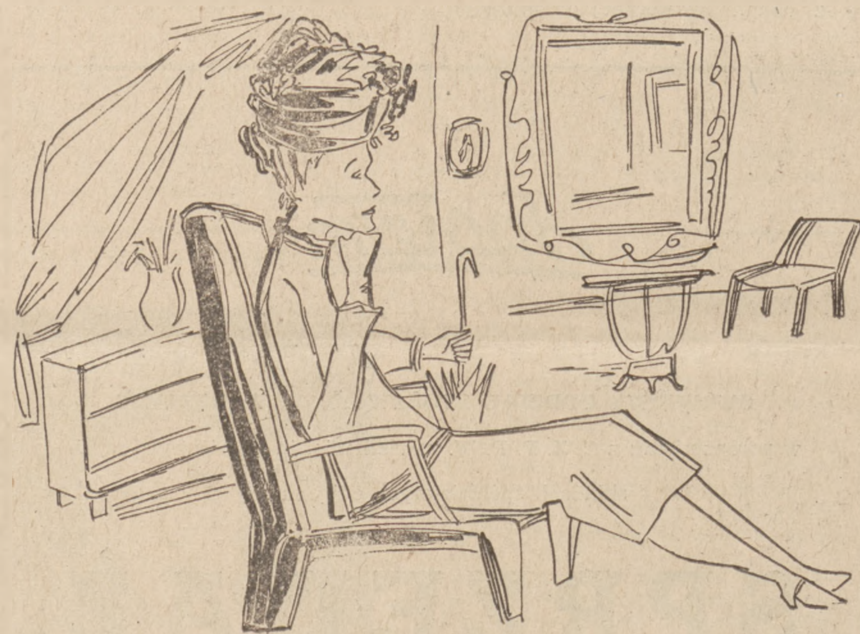
— Proszę do gabinetu — powiedział — i przepuszczając ją przed sobą ziewnął nieznacznie.

Gdy klientka zasiadła na krześle przy biurku, przyjrzał jej się dokładniej. Była to osoba pod czterdziestkę niska i otyła. Jej nadmiernie upudrowana twarz przypominała mu białe, jakby umazane mąką twarze klownów cyrkowych. Miała przy tym rażąco ukarminowane usta i podczernione oczy.

Drgnął na brzmienie jej głosu. Ta straszna kobieta mówiła basem. — Mój mąż chce się ze mną rozwieść — oświadczyła kładąc na biurku papiery. — Proszę, niech pan przeczyta, co on tam naskrobał!

Czytając pozew mecenas czuł na sobie badawcze spojrzenie klientki. Zdawała się go pilnować, żeby przeczytał dokładnie, nie przepuścił ani słowa.

Sprawa była banalna i mało interesująca. Jan Niebudek i Jadwiga Kłopotowska zawarli 30 lipca 1939 roku związek małżeński. W 1944 roku pozwana Kłopotowska opuściła męża i wyjechała z Łodzi do Warszawy. W tym samym roku Niemcy wywieźli powoda Niebudka do obozu. Gdy wrócił po wojnie do domu, zastał w mieszkaniu obcego mężczyznę, z którym pozwana Kłopotowska żyła w konkubinacie. Dzieci strony (małżonkowie Niebudkowie) nie miały. Wobec rozkładu pożycia małżeńskiego pozwany domagał się rozwodu.



W fotelu rozpierało się babsko z parasolką...

— Prędko pan przeczytał — zagrzmiała niewiasta basem z wyraźną dezaprobatą.

Mecenas, przyzwyczajony do nietaktu klientów, puścił mimo uszu złośliwą uwagę. Zresztą interesowało go przede wszystkim, ile będzie mógł pociągnąć z baby.

Nie myślicie, moi drodzy, że wzięty adwokat przejmie się waszą sprawą. Adwokat myśli przede wszystkim o swoim honorarium, a jeśli jest wzięty, to znaczy, posiada rozległą praktykę, nie starcza mu ani chęci ani czasu na wnikanie w wasze kłopoty, tym bardziej, że woli wnikać w waszą kieszeń. Włoskie przysłowie dość trafnie powiada, że lepiej myszy w łapach kota, niżli klientowi w rękach adwokata.

W pewnych wypadkach obrońca zapala się do sprawy, której się podjął, ale przyczyny, które go wtedy ożywiają są zupełnie innej natury niż dbałość o interesy klienta. Ambicja zawodowa, chęć postawienia na swoim satysfakcja z pognębienia kolegi — przeciwnika oto motory, które nim czasem poruszają. Przede wszystkim jednak adwokat musi pamiętać o zainkasowaniu honorarium z góry, mając na uwadze lapidarne przysłowie: Adwokat po sprawie, panna po zabawie.

Dlatego mecenas zadał klientce podstępne pytanie: — Czym pani się zajmuje?

— Jestem urzędniczka na poczcie — brzmiała odpowiedź.

— O, niedobrze! — pomyślał mecenas, bowiem już teraz było jasne, że ofensywa na kieszeń klientki nie jest warta trudu i zachodu.

Powiedział więc: — No, cóż? W świetle przepisów nowego prawa małżeńskiego z 1945 roku mąż pani jest uprawniony domagać się rozwodu i taki rozwód uzyska.

Klientka poruszyła się niespokojnie na krześle. — Ja nie po to tu do pana przyszłam — wypaliła — żeby mi pan tu mówił, co sama wiem. Pan jest, od tego, żeby on rozwodu nie dostał! A ja się na rozwód nie zgadzam, rozumie pan! Nie dam rozwodu i jeszcze mu wygarbuję skórę tak, jak to już raz zrobiłam.

Podniósłszy parasolkę, jakby dla zademonstrowania swemu adwokatowi dowodu rzeczowego, uśmiechnęła się łobuzersko... Do swych wspomnień a może do parasolki, która dobrze spełniała powierzone jej zadanie.

— Pracowałam wtedy jeszcze w Komisariacie Milicji Obywatelskiej. Mąż telefonował, że chce przyjść z narzeczoną do mnie, żeby się rozmówić. „Przyjdźcie, powiadam, kochanie, będę na was czekała w bramie, w Komisariacie". Przyszli oboje. Jak ich zaczęłam prać, jak ich zaczęłam grzmocić, powiadam panu, to myślałam, że połamię parasolkę! Milicjanci w bramie, wszystko moi znajomi, boki zrywali ze śmiechu.

Mecenas, jakby z lekka zaniepokojony, spoglądał bez uśmiechu na wojowniczą niewiastę. I nawet odsunął się nieco z fotelem od biurka.

— No dobrze, ale pani (jak tu mąż podaje w pozwie) wyjechała w czasie wojny i zostawiła go samego.

— Wyjechałam, bo mnie Arbeitsamt chciał zabrać do pracy.

— A teraz — indagował mecenas zaglądając do pozwu — żyje pani z innym mężczyzną? Czy to prawda?

— Prawda! Żyję! A bo to nie jestem normalną kobietą? — zapytała klientka zaczepnie.

— Więc nie rozumiem, o co pani właściwie chodzi? Dlaczego pani nie chce zgodzić się na rozwód?

— Bo nie chcę!... On mi złamał życie.

Klientka spochmurniała, spuściła oczy. Trwało to chwilę. — A zresztą — wybuchła — jeśli mi zapłaci dwieście tysięcy, to się zgodzę! Inaczej — nic! Ta jego baba ma skład apteczny i [illegible] zapłacić. Jak chce mieć chłopa to niech płaci!

— No tak, ale ja tu właściwie nie jestem potrzebny — oświadczył mecenas sucho. — Sami się pogodzicie. Ja nie mam czasu na prowadzenie takich spraw.

Klientka odsunęła bezceremonialnie ekrytuar z imitacji marmuru i wjechała łokciami na biurko. — „Takich spraw?" O, niech pan nie będzie taki ważny! Od czego pan jest? Czy pan broni tylko bogatych? Pan sobie odtrąci z tych dwustu tysięcy, a ja tymczasem zostawię zadatek.

To mówiąc wyjęła z torebki i położyła na biurku tysiączłotówkę. — On sobie wziął adwokatkę, to i ja nie będę gorsza.

— Adwokatkę?

Mecenas spojrzał na pozew. Pełnomocniczką Jana Niebudka była adwokatka Janina Menkes; nie cierpiał tej złośnicy, miał z nią zatargi. Pomyślał, że teraz mógłby się zemścić utrudniając jej prowadzenie procesu.

Na biurku leżał nowiutki banknot tysiączłotowy na koszta skromnej kolacyjki w Tivoli. Ponad to coś tam jeszcze da się wydębić od baby.

Ostatecznie podsunął jej blankiet pełnomocnictwa do podpisania.

— Tylko, panie mecenasie, trzeba odraczać sprawę, ile się da, żeby im krwi napsuć. Oni się śpieszą do ślubu, ale ja ich potrzymam. Nie pan się!

— „Odraczać, odraczać" — przedrzeźniał zgarniając niepostrzeżenie banknot z biurka. — Jeżeli będę miał świadectwo lekarskie, że nie może pani z powodu choroby stawić się do sądu, to odroczę sprawę.

— Będzie pan miał! — zapewniła solennie. — Już ja się o to postaram. Pójdę do lekarza rejonowego, niech ta chora kasa raz coś dla nas zrobi! Poruszę niebo i ziemię...

— Wierzę, że pani to potrafi!

I nagle mecenas zaniepokoił się i zaczął trzeć z zakłopotaniem czoło. — Rzecz w tym... Nie wolno, żeby się sąd dowiedział, że pani symuluje chorobę, i że ja — uchowaj Boże! — sugerowałem pani coś takiego. Drogą pani, proszę pamiętać, że wszystko, co się mówi w kancelarii adwokata, to jak w konfesjonale.

— Wiadomo! — oburzyła się klientka. — Za kogo mnie pan bierze? Naturalnie, że jak w konfesjonale. Pan nawet — dodała zerkając nań zalotnie spod oka — wygląda na księdza. Taki pan przystojny!

Mecenas pogładził z zadowoleniem siwiejącą czuprynę. — Ach, te baby — pomyślał. — Lecą na mnie!

Przyjrzał się uważniej klientce, która nie wydała mu się już taka okropna. Okiem znawcy ocenił dyskretną ondulację jej ciemnych włosów i oryginalny wykrój zmysłowych ust. Tylko po cóż, u licha, tak się upudrowała?

Sprawa była wyznaczona na trzynastego czerwca, powiedział więc: — Mamy jeszcze tydzień czasu. Wezwę do siebie listownie pani męża.

— Niech pan go wezwie i niech pan mu powie — domagała się z łobuzerskim humorem — żeby się nie stawiał, bo jak babcię kocham połamię mu tę parasolkę na grzbiecie.

Jaś Niebudek natychmiast po otrzymaniu listu od adwokata Orskiego pobiegł do narzeczonej na naradę. Ufał jej rozumowi więcej niż swemu. Zaufanie, jakie pokładał w narzeczonej tłumaczyło się tym, że ona była właścicielką drogerii i miała własne trzypokojowe mieszkanie i radio, podczas gdy on mieszkał jeszcze wciąż kątem u przyjaciela i pracował w Zarządzie Miejskim za trzy tysiące złotych miesięcznie.

(dalszy ciąg w następnym numerze)

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Zagadka Nr 29 była trudna do odgadnięcia, nadesłano też tylko 250 odpowiedzi, z czego dobrych okazało się zaledwie trzy.

Większość określała, że rysunek dotyczy przysłów: „Pańskie oko konia tuczy", „Znają się jak dwa łyse konie", „Nie każdy koń srokacz", „Koń by się uśmiał", „Jak spaść to z dobrego konia", „Zły koń to uszami strzyże", „Syty głodnemu nie wierzy", „Zanim tłusty schudnie, to chudy nogi wyciągnie", „Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby", „Koń ma wielki łeb, niech się martwi" itp. Wszystkie te odpowiedzi były błędne. Prawidłowe rozwiązanie brzmi:

„KOŃ, KONIOWI NIERÓWNY"

Wobec tego, że zaledwie trzy osoby rozwiązały to zadanie, obyło się bez losowania.

NAGRODY KSIĄŻKOWE OTRZYMALI:

mgr. Antoniusz Kwiatkowski — Wałbrzych, ul. Uzdrowiskowa 19
Edmund Anderson — Gdańsk, Oliwa, Słupska 36
Edmunda Minchbergowa — Warszawa, Stalowa 43 — 16.

Nagrody wysłane zostaną pocztą.



Powyżej podajemy zagadkę Nr 32, za rozwiązanie której Redakcja przeznacza:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH
oraz
10 NAGRÓD PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 25 marca br.



	♠ — ♥ D.6.5.4.2 ♦ A.R.D ♣ A.R.9.4.2	
♠ 10.7.3 ♥ W.10.9.8.7 ♦ 6.3. ♣ D.W.10	N O E S	♠ 9.8.6.5.4.2 ♥ R ♦ 7.5.4.2. ♣ 8.7.
	♠ A.R.D.W ♥ A.3 ♦ W.10.9.8 ♣ 6.5.3	

KĄCIK BRIDŻOWY

N i S grają wielkiego szlema bez atu.

Przeciwnik z lewej strony atakuje waletem kier. N — S biorą wszystkie lewy.

Wkrótce, na prośbę czytelników rozpoczniemy naukę bridża.

SPROSTOWANIE

W Nr 8 (84) „Tygodnia" wydrukowano notatkę o Fabryce Czekolady i Cukierków „Społem" w Krakowie pod błędnym tytułem: „Gdzie powstaje Koncha". Jak wynika z treści notatki, „Koncha" jest to maszyna niezbędna do wyrobu masy czekoladowej, a społemowska fabryka wyrabia słodycze, a nie te maszyny. Ale i „koń, choć ma cztery nogi, czasem potknie się".

ROZWIĄZANIE ZADAŃ „KONKURSU KARNAWAŁOWEGO"

W konkursie zamieszczono 13 zadań, rozwiązań, nadesłano 205, z czego tylko 5 osób rozwiązało wszystkie zadania. Większość „potknęła się" na krzyżówce geograficznej i na wężownicy, które to zadania były istotnie trudne.

ROZWIĄZANIA:

1) **Krzyżówka — poziomo:** ranek, moser, Kalifat, minaret, ar, regulamin, ne, zyz, baron, manon, gin, ut, kolimator, li, sanator, kat, Radames, Sudan, Sanok, tenor, men, weteran, kar, etalon, pokora, tatar, wigor, aromat, tasak, tal, nominat, tot, potok, rodał, korek, paragon, Rej, maraton, ik, luteranin, li, lak, kimel, dinar, mag, om, generator, se, nenufar, semafor, rabat, kiper; **pionowo:** kazus, pilon, rarytas, pakamer, al, numerator, na, Nil, kadet, rataj, kub, ef, tanatolog, fa, karakon, Lam, koligat, teron, wotan, numer, gol, senator, ten, unikat, morele, maneż, lider amator, Najada, mat, kapitał, nit, minor, Nogat, Minos, on, dekorator, mi, San, kanar, koral, kap, er, moralitet, fe, renifer, kolator, tenis, Niger.

2) **Rebus** — człowieka ogarnia nieraz niepokój ducha;

3) **Rebus** — orze chłop, a tylko niebo wie, co zbierze;

4) **Eliminatka rebusowa** — życie jest niezmierzone. Klucz—kadłub.

5) **Wężownica** — Abrek, komisarz, Zopf, forszt, teren, noesis, syrówka, akces, Skawa, agnoci, inicjał łaziec, czyta, Ateneum, meszt, tulu, Uhnów, wiedza, akordion, napitek, Krampon, nadziak, kujan, noema, aneks, smoli, imam, małmazja, antyk, kąsek, karkas, stop, poza, agregat, taktyk, kowerkot, tas, sękacza.

A „Rozrywka czytelnikom daje miłą rozrywkę".

6) **Krzyżówka geograficzna poziomo:** Abo, Kodak, Baba, Sara, Arara, Lar, Arabia, Abiko, Utrata, Mur, Abhar, Aras, Auta, Nasik, Mar; **pionowo:** Abstuman, Bar, Tura, Oba, Arras, Araba, Si, Arita, Os, Akaba, Dalbo, Hum, Orai, Ata, Karaburan.

7) **Arytmograf** — W karnawale wielkie bale, a zaś w poście gorzkie żale.

8) **zagadka — grymas,**

9) **zagadka — cytryny,**

10) **perówka — maskarada,**

11) **arytmograf — karnawał krótki w tym roku, bawcie się wesoło,**

12) **rebus — w karnawale,**

13) krzyżówka — karnawał. **Poziome:** krok, tank, fala, Sawa, litr, ozon, pion, alka, ruta, elew, żółw, arta, igła, stół, szał; **pionowe:** pisk, kark, para, wiza, Kair, czar, lian, klan, Piza, alba, żuaw, brew, wóda, Etna, ogół, opał.

Listę nagrodzonych podamy w następnym numerze.

WIELKOPOSTNY KONKURS NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

W Nr 7 (83) ogłosiliśmy nowy konkurs na rozrywki umysłowe, który trwać będzie do dnia 28 marca br. Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 15 kwietnia rb. Za rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty.

Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. Pomiędzy zwycięzców Konkursu rozlosowanych zostanie 10 nagród książkowych, a pomiędzy pozostałych, którzy rozwiążą chociaż jedno zadanie — 10 nagród pocieszenia również książkowych.

Wraz z rozwiązaniami prosimy nadsyłać opinie, które zadania są najlepsze. Za trzy najlepsze zadania, wytypowane przez Czytelników przyznane będą trzy specjalne nagrody książkowe.

Nie zamieszczone zadania w „Konkursie Karnawałowym", zostaną wykorzystane w obecnym. Prosimy o nadsyłanie nowych projektów.

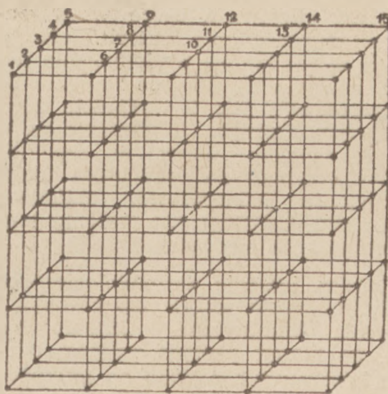
Sześcian magiczny

Poczynając od punktów, oznaczonych liczbami, wpisać pionowo do powyższej figury 15 słów o podanym znaczeniu i utworzyć sześcian magiczny.

P. Erazmowi Grójnackiemu dedykuje „Andrus".

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Utwór poetycki, 2. Utwór muzyczny, 3. Kraj w Azji, 4. Muza pieśni miłosnej, 5. Odcinek asygnacji, 6. Słup, rozdzielający w stajni dwa konie, 7. Starogrecka dzielnica nad morzem Jońskim w Peleponezie, 8. Miasto w Polsce, 9. Miejscowość w Arabii, 10. Ulubiona potrawa wschodnia, 11. Przylądek Ziemi Wiktorii (Antarktyda), 12. Podstawa armaty (2-gi przypadek 1. mn.), 13. Członek stronnictwa arystokratyczno-konserwatywnego w Anglii, 14 Miejscowość w Sardynii, 15. Mędrzec, doradca królów Dawida i Salomona.



Eliminatka rebusowa

Z podanych wyżej rysunków należy odczytać rzędami poziomymi 14 wyrazów, wypisując je jednym ciągiem. Z wyrazów tych następnie skreślić litery, wchodzące w skład „klucza", którym jest znaczenie rysunku górnego (w podwójnej ramce) — z pozostałych odczytać właściwe rozwiązanie.

ul. Romuald Miałkowski



W ubiegłym tygodniu nagrodę w postaci książki Poli Gojawiczyńskiej „Ziemia Elżbiety" otrzymał p. **Ludwik Rzepkiewicz (Katowice, ul. Francuska 19 — 11)** za nadesłanie wycinków z „Dziennika Zachodniego" z dnia 3 marca br., w którym czytamy w rubryce pt.:

„DOWIEDZCIE SIĘ, ŻE ..."

„Spośród licznej gromady ssaków najdłużej żyje słoń, bo około 300 lat Po nim idzie koń, osieł i wielbłąd, dochodząc do 500 lat. Na trzecim miejscu nosorożec, hipopotam i niedźwiedź które osiągają wiek od 40 do 50 lat".

Ciekawe, gdzie autor notatki widział konia pamiętającego czasy Kolumba i dlaczego 300 jest więcej niż 500? Czekamy na wyjaśnienie, ile żyją barany?

KTO „SPROWADZA" DESZCZE?

W tym samym numerze „Dziennika Zachodniego" w artykule pt. „Jak przewidzieć pogodę", w punkcie 17 czytamy:

„Rechoczące we dnie żaby, sprowadzają deszcze, gdy rechocą wieczorem — będzie piękna pogoda".

Sądziliśmy dotychczas, że żaby zapowiadają, względnie wróżą deszcz lub pogodę, tymczasem autor artykułu twierdzi, że „sprowadzają". Wolimy jednak zostać przy swoim zdaniu.

ZMIANA KALENDARZA

Szybkość w działaniu jest godną uznania. Pomorzanie nie chcą czekać na zmianę kalendarza zapowiadaną przez ONZ. Słusznie obawiają się, że przy obecnym tempie pracy w tej instytucji, mogą i wieki przeminąć, nim inicjatywa wejdzie w stadium długoletnich debat komisji i podkomisji. A zatem precz z bezproduktywnym czekaniem.

Zgodnie z demokratycznymi postulatami równości, zatroszczono się najpierw o biedny luty, który nie wiadomo z jakich powodów ma być zawsze krótszy od swoich 30 — 31-dniowych braci. Numer 59 „Słowa Pomorza" wyszedł zatem pod nową datą: **„poniedziałek 30 lutego 1948 r.".**

(nadesłała p. **Wanda Ostrowicz**)

HISTORIA POWTARZA SIĘ

„Wieczór" w nr 52 zamieszcza ilustrację, pod którą czytamy następujący podpis:

„W nocy z 22 na 23 lutego 1948 r., lud paryski z okrzykiem „do broni", wyszedł na ulicę. Rewolucja Lutowa rozpoczęła się".

A więc dokładnie w stuletnią rocznicę „Wiosny Ludów" lud paryski znów powstał przeciw ciemiężcom.

(nadesłał p. **T. Bielawski** z Kętrzyna)

„ZACZĘŁO SIĘ OD POCAŁUNKU..."

„Przekrój" w nr 145 z dnia 24 stycznia, w artykule pt. „Zaczęło się od pocałunku", podaje między innymi na stronie 9-ej:

„W owym czasie wydajność cukru z buraków była niewielka... 100 funtów buraków dawało 3 — 4 funtów cukru surowego. Dziś: 100 funtów cukru surowego i około 1 i pół funta melassy". „Od kierownika ekspedycji dowiadujemy się, że Cukrownia wykonała plan w 110 proc.".

Czytając powyższe, dochodzimy do wniosku, że nic dziwnego, że cukrownia w Kętrzynie wykonała plan produkcji w 110 proc., skoro sam burak cukrowy wykonał plan powyżej 600 proc. Nadto zapytujemy sprawozdawcę p. Henryka Hermanowicza, czy burak o zawartości 100 proc. cukru, musi być koniecznie jeszcze przerabiany w cukrowni. Chyba po to tylko, by odciągnąć z niego owe półtora procent melassy. Wysoką obecnie wydajność buraka cukrowego zawdzięczamy p. Hermanowiczowi, który rozpoczął pracę nad burakiem „od pocałunku".

(nadesłał p. **Siwak Ignacy** z Otwocka)

O ZMARSZCZKACH

Nic tak nie szpeci kobiety, nic tak nie postarza jak zmarszczki. Czas — ten bezwzględny wróg i oznaka przemijającej urody kobiecej — dokumentuje swe ślady na twarzy. Ślady, które szpecą i przedwcześnie postarzają.

Zmarszczki są następstwem zwiotczenia skóry, zaniku podściółki tłuszczowej i osłabienia mięśni. Zjawisko to występuje przede wszystkim: 1) wskutek wieku, 2) nagłego schudnięcia, 3) zbyt silnej mimiki i częstych grymasów twarzy.

O STARZENIU SIĘ SKÓRY

Jak wiemy, skóra z wiekiem staje się wiotka, mało jędrna, miękka, pomarszczona, pełna bruzd. Najnowsze badania wykazały, że chemicznie zanik elastyczności skóry należy tłumaczyć utratą zawartości połączeń krzemu w organizmie, a nadmiernym odkładaniu się wapna w tkankach. Proces ten występuje specjalnie mocno w naczyniach krwionośnych i skórze.

Brak zawartości tego pierwiastka w skórze powoduje jej suchość, swędzenie i skłonność do egzemy. Rola krzemu w organizmie była dotychczas niedoceniana. Jest on bowiem obok tlenu najbardziej rozpowszechnionym pierwiastkiem w przyrodzie. Krzem znajduje się w dużych ilościach w pewnych rozpowszechnionych roślinach, przede wszystkim w skrzypie polnym, zawiera go również dużo rdest ptasi, a potem zboże. Tzw. lecznictwo ludowe od dawna zna działanie tych roślin w pewnych schorzeniach i stosuje ich odwary, nie rozumiejąc jednak dokładnie na czym ich działanie polega. Do niedawna w medycynie uznawano przeważnie tylko leki sztuczne, wyrabiane w kolbach laboratoryjnych, obecnie coraz częściej zwracamy się do świata roślinnego, czerpiąc zeń nieocenione środki lecznicze. Takim bezcennym środkiem jest krzem, stosowany przy starzeniu się organizmu, przy sklerozie, raku, wyniszczeniu ogólnym. Przy elementarnej znajomości botaniki możemy przez okres letnich miesięcy same zbierać na polu skrzyp i rdest ptasi oraz przygotowywać z nich odwary, względnie suszyć na okres miesięcy zimowych i po porozumieniu się z lekarzem przyjmować przez czas dłuższy.

Po użyciu tego środka następuje ogólna poprawa zdrowia i wzmocnienie, skóra na twarzy staje się jędrna, gładka, obfita w soki i lepiej ukrwiona. Naturalnie, że efekt kosmetyczny krzemu występuje tylko przy wadach cery wywołanych wiekiem i przemęczeniem a nie chorobami skórnymi.

Krzem więc jest nowym i dobrym środkiem na zmarszczki, gdy są one następstwem pierwszego szkodliwego czynnika tj. wieku.

SCHUDNIĘCIE

Nie ma nic dla urody kobiecej bardziej szkodliwego i sprzyjającego pojawieniu się zmarszczek, niż szybkie schudnięcie wraz z nagłą utratą podściółki tłuszczowej, wygładzającej skórę i utrzymującej jej gładkość bez zagłębień i fałd. Bez względu na to, jaka przyczyna wywołuje gwałtowne schudnięcie, zawsze jest ono szkodliwe dla urody. Pamiętać o tym powinny panie, starające się par force schudnąć, niebaczne na skutki zbyt energicznych zabiegów.

Całe szczęście, że minął już niedawny obłęd mody, kiedy ideałem były kobiety — szkielety, sheblowane z tyłu i z przodu, o roztrzęsionych biodrach, na „słomianych" nóżkach. Dla uzyskania modnej wówczas sylwetki poświęcało się wszystko, a przede wszystkim zdrowie i rozum.

Nie był wcale anegdotą fakt przeszczepiania do organizmu w celach odchudzających pasożyta zwanego tasiemcem przez połykanie jego jajeczek. Pasażer ten spożyty i tak mile przyjęty rozwijał się doskonale w gościnnym indywiduum, pozbawiał właścicielkę soków odżywczych i odchudzał „znakomicie". Po kilku miesiącach, gdy cel już był osiągnięty, to znaczy — zdobyte klasyczne, kanonem mody przepisane linie i wymiary, a lekkomyślna istota nabyła anemii i zaburzeń w trawieniu, usuwało się „gościa" z organizmu z dużą utratą zdrowia i równowagi psychicznej.

Dziesiątki podobnych przykładów, wskazujących na karygodną lekkomyślność rodu kobiecego, powinny przekonać panie o konieczności umiaru we wszystkim i stosowania wszelkich przepisów na schudnięcie jedynie za zgodą i pod kierunkiem lekarskim.

Kobiety bowiem odchudzają się najczęściej na „własną rękę", według recepty przyjaciółki lub przeczytanego ogłoszenia. Liczyć się jednak trzeba z tym, że każdy człowiek ma inną konstrukcję indywidualną, tzn. inny zapas potencji fizjologicznej i anatomicznej. Co jednemu nie szkodzi, u drugiego może wywołać silne zaburzenie ustroju.

Nie można przy tym ogólnie stosować pewnych norm dla różnych, zupełnie inaczej zbudowanych typów. Należy w poszczególnych wypadkach uwzględnić rozwój i charakter kośćca, stopień rozwoju mięśni, a także nie zapominać o względach estetycznych, gdyż nieraz kuracja przeprowadzona dla osiągnięcia piękna, sprowadza wręcz odwrotny skutek, gdy zeszczuplenie sprowadzi obwisłość kształtów, policzków, podbródka, sieć zmarszczek na twarzy i ogólne wyczerpanie. Przy tym nie każdy typ kobiety wygląda po zeszczupleniu ładniej. Tyczy się to przede wszystkim Polek, których świeża różowa karnacja twarzy, a niezbyt regularne rysy — nie zawsze harmonizują z typem przesadnie wiotkim.

Środki odchudzające stosowane bezkrytycznie rujnują zdrowie kobiety, a przez to powodują zwyrodnienie rasy.

Należy więc odchudzać się w razie potrzeby umiarkowanie, kierując się logiką i rozumem!

Zbyt energiczne odchudzanie czyni kobietę przedwcześnie postarzałą, o skórze wiotkiej, mało elastycznej i pokrytej zmarszczkami.

*

W następnym artykule omówimy najpopularniejszą bodaj bolączkę starzejącej się skóry tzw. „k u r z e ł a p k i".

Dr med. J. M.

PIELĘGNUJMY URODĘ!

Wobec napływających coraz obficiej od Czytelniczek zapytań w sprawach związanych z pielęgnowaniem urody Redakcja zdecydowała druk STAŁEGO DZIAŁU PORAD KOSMETYCZNYCH.

Poczynając od Nr 11 „Tygodnia" na wszystkie zapytania w tych sprawach odpowiadać będzie znana kosmetyczka warszawska p. Janina Szymczak — kierowniczka popularnego gabinetu i laboratorium kosmetycznego — Warszawa — ul. Krucza 46.

Smacznego

W KUCHNI PRZED WIELKANOCĄ

Kiełbasa „świąteczna" własnego wyrobu

3 kg wieprzowej karkowiny lub szynki, 1 kg wołowego mięsa (najlepiej pierwszej krzyżowej) — pokrajać w drobną kostkę. Dodatki: sól, pieprz, angielskie ziele, łyżeczka saletry, łyżeczka utłuczonego kolendru, gorczyca w ziarnkach, główka czosnku, łyżeczka cukru. Wszystko wyrobić dokładnie jak ciasto. Nakładać mięso do czysto wymytych kiszek wieprzowych. Obsuszyć. Wędzić.

Jeżeli kiełbasa ma być do gotowania — dodać do mięsa szklankę wody, ale nie dawać wówczas gorczycy.

Morelówka

Do 1 litra wódki wsypać 10 dkg drobno pokrajanych suszonych moreli i 2 łyżeczki cukru. Postawić w ciepłym miejscu. Po tygodniu jest już do użytku.

Cytrynówka

Zwykle robi się ją na poczekaniu, wrzucając do butelki z wódką dowolną ilość skórek cytrynowych, cienko pokrojonych i z całkowicie usuniętą wewnętrzną warstwą białą. Już po kilku godzinach wódka ma zapach i lekka goryczkę cytryny i można ją używać.

Nie należy nigdy skórek cytrynowych zalewać spirytusem, gdyż spirytus rozpuszcza olejek zawarty w skórach i staje się mętny, a raczej silnie mętnieje przy rozprowadzaniu wodą (wprawdzie z czasem się klaruje, lecz narazie wódka taka jest nie do użycia).

ZIOŁA TO ZDROWIE

Nerki są najważniejszym organem wydzielczym. One to są filtrem organizmu usuwającym szkodliwe dlań związki chemiczne które wytwarzają się w przemianie materii. Choroby, a nawet lżejsze niedomagania nerek, odbijają się fatalnie zarówno na samopoczuciu jak i wyglądzie zewnętrznym chorego. Nadmienić należy, że zapalenie nerek w rzadkich tylko przypadkach przebiega jako schorzenie jednorazowe, znikające bez śladu, i dlatego nie możemy lekceważyć tych cierpień.

Oprócz leczenia farmakologicznego i dietetycznego wpływ ma również i leczenie klimatyczne. Okazało się np., że klimat pustyni wpływa bardzo korzystnie nie tylko na przypadki nerczycy, ale powoduje również spadek ciśnienia, obniżenie poziomu azotu w przypadkach zapalenia nerek. W dolegliwościach nerkowych trzeba zachować ścisłą dietę bezsolną i mało białkową. Należy więc usunąć z pokarmów: wędzone mięso, ryby morskie, konserwy mięsne i rybne, wędliny, wyciągi mięsne, sery, wodę (zawiera w 1 litrze 1.6 g. soli), chrzan, szparagi, rzodkiew, selery. Przy kamicy nerkowej również: szczaw, szpinak i pomidory. Należy również ograniczyć ilość przyjmowanych płynów. Alkohol, mocna kawa, mocna herbata pobudzają narząd krążenia, dlatego te napoje muszą być wykreślone z jadłospisu nerkowo chorych. Dieta bezsolna i mało białkowa jest to przede wszystkim dieta owocowo - jarzynowa i kaszkowa, a więc zawierająca dużo dojrzałych owoców, zup owocowych, surówek jarzynowych, sałatę, kalarepkę, marchew, buraki, brukselkę, kartofle, kasze i ryż. Brak soli w pokarmach możemy zastąpić różnymi przyprawami, poprawiającymi smak potraw, jak kminek, pieruszka, cebula itd. Niekiedy zaleca się dni głodówkowe. Owoce wpływają na zwiększenie oddawania moczu, co jest pożądane we wszystkich chorobach nerek i pęcherza. Dieta więc owocowa, złożona wyłącznie z surowych owoców i kompotów, posiada własności nie tylko dietetyczne ale i lecznicze.

W chorobach nerek, miedniczek nerkowych, pęcherza i moczowodów zastosowanie mają następujące surowce roślinne moczopędne i odkażające mocz:

BRZOZA (liście, pączki, sok). Wyciąg wodny z liści brzozowych posiada silne działanie moczopędne, usuwa obrzęki pochodzenia sercowo-nerkowego, leczy białkomocz i uśmierza duszności. Można z korzyścią



Największą wartość posiada sok brzozowy zbierany wczesną wiosną

również używać odwaru z pączków brzozowych. Liście i pączki mają zastosowanie w chorobach dróg moczowych i reumatyźmie — sok — w t. zw. „kuracjach wiosennych" dla poprawienia przemiany materii. Dawka: łyżka stołowa liści na filiżankę wody jako napar. Działanie wzmaga się przez dodanie do naparu na końcu noża sody oczyszczonej.

POŁONICZNIK GŁADKI (ziele). Posiada działanie moczopędne i dezynfekcyjne dróg moczowych. Stosuje się w chorobach pęcherza, nerek i rzeżączki. Dawka: łyżeczka do herbaty na filiżankę wody jako napar, względnie całą dawkę dzienną (3 łyżeczki na 3 filiżanki wody) zalać wodą o temperaturze pokojowej i odstawić na noc.

JAŁOWIEC POSPOLITY (jagody). Napar wodny posiada własności moczopędne bardzo wybitne i dlatego jest stosowany przy obrzękach arteriosklerotycznych i w przewlekłych zapaleniach stawów. Działa również odkażająco. Jagody jałowcowe mają zastosowanie w chorobach nerek (z wyjątkiem ostrych zapalnych stanów, większe dawki mogą podrażnić nerki), pęcherza, artretyzmie, reumatyzmie i chorobach dróg oddechowych. Olejek jałowcowy używany jest zewnętrznie do wcierania przy różnych bólach, łamaniach i darciach.

W weterynarii sproszkowane jagody stosują się przy zatrzymaniu moczu u bydła.

W przemyśle spożywczym — jako przyprawa do marynat i do wędzenia. W Anglii z jagód jałowcowych pędzą wódkę p. n. „Gin" (Dżyn).

Dawka: łyżka do herbaty na filiżankę wody jako napar (zaparzyć, odstawić w ciepłym miejscu na 5 — 10 minut, przecedzić). Pić dwa razy dziennie.

WILŻYNA CIERNISTA (korzeń). Odwar z korzeni ma własności moczopędne i łagodzące stan zapalny dróg moczowych. Stosowany jest przy kamicy nerkowej i pęcherzowej, rzeżączce, w zatrzymaniu i bolesnym oddawaniu moczu, artretyzmie itp.

Dawka: łyżeczka od herbaty na jedną czwartą litra wody jako odwar (zalać zimną wodą, ogrzewać w ciągu 25 — 30 minut, przecedzić przez płótno). Pić trzy razy dziennie.

B-48079

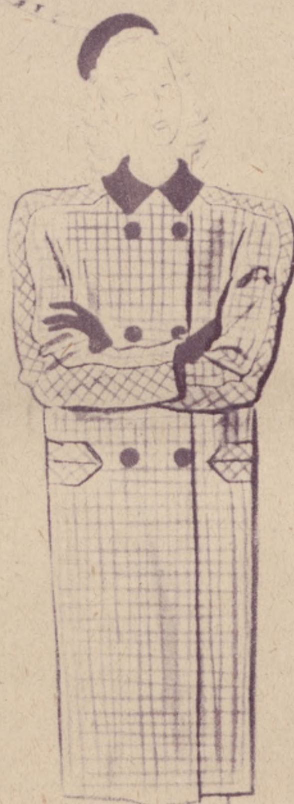
KOSTIUMY PŁASZCZE WIOSENNE







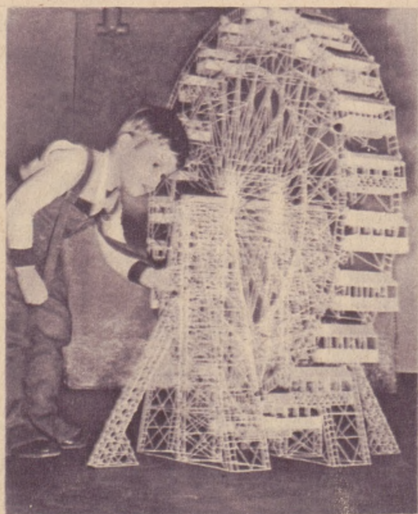






MODELE i FOTOGRAFIE:
„Vogue", „Harper's Bazaar", „Ambassador" – Londyn, „Vos Modèles" – Paryż.

Z SZEROKIEGO świata



Na dorocznej wystawie pn. „Triumfy Cierpliwości" w Nowym Yorku jury uznało jednogłośnie, iż największym arcydziełem wystawy jest ten „młyn diabelski", którego wykonanie trwało zgórą pół roku i na który zużyto 27.000 wykałaczek.



W dniu święta 30-lecia Armii Radzieckiej Premier Cyrankiewicz złożył w imieniu Rządu RP. wieniec pod pomnikiem Armii Czerwonej na Pradze.



Długotrwała burza morska odcięła od swoich załogę latarni morskiej, do której nie mogą dotrzeć okręty. Zagrożonej śmiercią głodową załodze niesie pomoc helikopter.



Fantazje mrozu na jeziorze Michigan w Ameryce. Zagadkowe szeregi „tortów", które widzimy na zdjęciu, to utrwalone w ruchu przez 30-stopniowy mróz wiry wodne.



Minister Spraw Zagranicznych Rumunii Anna Pauker w czasie swego ostatniego pobytu w Warszawie na konferencji ze swym polskim kolegą Min. Zygmuntem Modzelewskim.



Angielskie miasteczko Shrewsbury nawiedziła powódź. Ludność szybko przystosowała się do nowych warunków i radzi sobie z przeszkodami na „sposób wenecki".



Jedno z ostatnich zdjęć premiera i dowódcy wojsk Wolnej Grecji, gen. Markosa (z prawej).



Żona i 10-letnia córeczka sławnego artysty filmowego Gary Coopera



Wieloletni premier Irlandii de Valera stracił swą dotychczasową olbrzymią popularność w narodzie.



Najbardziej elegancki dżentelmen ze szczepu Jarawa (północna Nigeria) podbijający serca dziewczęce swą „wyjątkowo udaną rzeźbą oblicza". Szkoda, że ten „szykowiec" nie chorował dodatkowo na ospę, byłby napewno jeszcze urodziwszy.



Najmniejszy fortepian świata, dzieło A. Pallenberga z Wiednia. Miniaturka ta jest najpełniejszym instrumentem, działającym identycznie jak „dorosłe" fortepiany.

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień". Redaguje: Zespół redakcyjny. Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 11 — 13. TELEFONY: Redakcji — 88-164, Administracji — 88-715. Redakcja rękopisów nie zwraca. Prenumerata miesięczna 90 zł., półroczna 520 zł., roczna 1000 zł.

TYDZIEŃ

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 1 — 4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr. 107. Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 120 zł. W kolorze — 50 proc. drożej.

R. S. W. „Prasa", Z. G. W-wa, Smolna 12, druk okładki wykonały Zakł. Wklęsłodruk. R. S. W. „Prasa", W-wa